

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 217.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 21 listopada 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Elżbieta z Krasieńskich Jaraczewska (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Grota Łokietka w Ojcowie (z drzeworytem). — Kościół katedralny w Włocławku (z drzeworytem). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Ilustrowane przysłowia (z drzeworytem). — Pierwsze złudzenie. Ślub (ballada studencka). — Z Mysłowic do Krakowa. — Przewidywania polityki zagranicznej. — Szachy. — Rebus.

ki są jej niedostępne, z całym zapalem poświęciła się pracy umysłowej i z taką chciwością rzuciła się do czytania, że w późniejszych latach życia prawie wzrok straciwszy, dyktowała swoje powieści.

Dozredzszy do lat dwudziestu dwóch wieku, chcąc zapewnić swoje przyszłość, postanowiła wstąpić do pp. kanoniczek w Warszawie i wyrobiła sobie u nich przyjęcie.

Inaczej jednak los przeznaczył: jeden z przyjaciół rodziny Krasieńskich umyślił ją wyswatać z dawnym

dała mu rękę. Po ślubie osiadła w majątności w Lubelskiem położonej, gdzie przez kilkanaście lat w prawdziwie szczęśliwym pożyciu przebyła. Mąż jej był wzorem prawości i najszlachetniejszych przymiotów, które tak wybitnie cechowały dawnych naszych wojaków. Kochając go szczerze, nie zatekniła nigdy w swoim miłym zaciszu do obfitego w rozrywki świata.

Czas swój dzieliła cały na zajęcia gospodarskie, prace naukowe i troskliwą opiekę nad włościanami. Mając gorliwego proboszcza w swęj parafii, uczestniczyła ochotnie w jego zacnych apostołskich pracach, czy to w odwiedzaniu chorych, pociesze strapionych, czy w jednaniu zważnionych. Mając wzgląd na ubogie uposażenie okolicznych księży, którzy zwykle nie mieli zaco nabywać dobrych i pożytecznych księzek, utworzyła swemu proboszczowi małą lecz wyborową biblioteczkę, złożoną z najlepszych dzieł duchownych i religijno-moralnych, z upoważnieniem pożyczania tychże wszystkim sąsiednim kapłanom. Przez lat kilka do chwili niemal zgonu pomnażała ten zbiór szacowny.

„Mieszkanie jej na wsi (mówi Ludwika Ossolińska w biografii naszej autorki) choć chędogie, miłe, podobnie było niekiedy do szpitala. Wszyscy bowiem chorzy z jej włości, a nawet często i z obcych, przychodzili lub przysyłali, prosząc o lekarstwo i wsparcie, których nie odmawiała nikomu. Obwodowy doktor, zgodzony rocznie, objeżdżał raz w tydzień wszystkich jej włości, a gdy tego potrzeba wymagała i gwałtowniejsze grasowały choroby, nie tylko bywał codziennie, ale i innych z okolicy doktorów i chirurgów przywoływano. Prócz tego była jeszcze i domowa apteczka, zawierająca wszystkie lekarstwa, jakich tylko zapotrzebować można w nagłych przypadkach i początkowych słabościach. Lecz nie na tém ograniczała się dobroć Jaraczewskiej: wiedziała to, iż jedynie uprzejmość serca umiła dar ręki i że biednemu każde słowo staje się pociechą, każdy dowód troskliwości dobrodziejstwem. Sama przeto odwiedzała i pielegnowała chorych, nie obawiając się częstokroć



ELŻBIETA Z KRASIŃSKICH JARACZEWSKA.

ELŻBIETA Z KRASIŃSKICH Jaraczewska.

Chlubimy się dziś licznym gronem autorek; ale przed kilkudziesięciu laty pisząca kobieta rzadkiem była zjawiskiem. Dopiero księżna Marya z Czarotoryskich Wirtembergska, Jaraczewska i Klementyna Tańska, prawie równocześnie w okresie odradzającej się literatury, jakby jedną myślą, jednem wiedziono natchnieniem, pochwyciły pióro, ażeby w wiernych malowidłach przedstawić już to współczesne towarzystwo polskie wykształconiejszej warstwy, już zastygającą w życiu, a w barwnym podaniu zachowaną przeszłość.

Wszystkie trzy pisarki, wychowane na sposób francuzki, musiały zrazu uczyc się ojczystego języka. Jaraczewska w pierwszej swęj powieści *Zofia i Emilia* otwarcie pisze: „Ze wstydem wyznaję, że mało oswojona z pisaniem w ojczystej mowie, wiele przeciwko niej błędów popełnić mogłam.“

Pomimo to, dziwnie wiedziono poczuciem, w powieściach daje nam najwierniejsze odzwierciedlenie rodzin i postaci prawdziwie polskich, które już dziś do wspomnień tylko należą, okraszono prawdziwym talentem pisarskim.

Urodzona w zamożnym domu r. 1792, podług ówczesowej mody odebrawszy wychowanie, pierwsze modlitwy i rozmowy z rodzicami nie w innym jak w francuzkim odbywała języku. Pozbawiona wdzięków niewieścich, ułomna, od dzieciństwa odznaczała się żywą i bujną wyobraźnią, zadziwiającą pamięcią i pojętnością.

Opatrzność, odmawiając urody i powabu, dała jej piękną duszę i na pociechę chwil samotnych, talent pisarski. Umiała Jaraczewska z tych darów korzystać, a jako kobieta wyższa umysłem, przekonana że obowiązki żony i mat-

swoim towarzyszem broni, Adamem Jaraczewskim, którego szczerze kochał i szanował.

Wahając się z początku, pozpawszy go bliżej, od-

najniebezpieczniejszej zarazy i osładzając umiერajacym ostatnią z życiem walkę, odmawianiem tklivych i z serca płynących modłów. Czynną jej i pomyslną

dobroć, umiała każdej chwili nadać użytek i wszystkie nawet rozrywki w dobre przeistaczać uczynki. Celem prawie codziennych jej przechadzek było rozwojenie lekarstw cierpiącym, pożywienia głodnym, wsparcia potrzebującym, pomocy i rady wszystkim.

„Jako dowód iż życie odosobnione, ciche, lepiej jeszcze przechowuje świeżość wyobrażeń, jak roztargnienie światowych zabaw, posłużyć może ta okoliczność, że czas poświęcony przez Jaraczewską wypełnianiu najszczytniejszych cnót chrześcijańskich, był oraz epoką objawienia się jej pisarskiego talentu, który w dojrzałym już wieku, odrazu świetnym zajaśniał blaskiem. Zbyt tkliwa, zbyt może drażliwym obdarzona czuciem, nadto czuła na wpływ potocznych, choćby najdrobniejszych okoliczności, niezdolna przytępiać wspomnień minionego smutku, ani się nie trapić przewidywanym zmartwieniem, póki młodszą była, nie mogła dosyć przycłumić nieustannego oddechu w sobie, ażeby skręślić wyrazami zbyt obfite wrażenia i myśli. Lecz gdy się jej życie niejako urzeczywistniło i uspokoiło, nie tak lat napływem, jak raczej ciągłym poświęcaniem się celowi wyższemu nad kłopotliwe drobnostki tego świata, ogień trawiący jej wyobraźnię w błogie zamienił się światło, a zbyt gorące uczucia w ożywione obrazy. Wady i śmieszności, rażące ją dawniej w ludziach, stały się wówczas zajmującym przedmiotem jej uwag życzliwych. Przedsięwzięcie pisania nie pochodziło w nią z chęci wstawienia się, ani tworzenia urojonych marzeń, ale jakby z potrzeby przypomnienia sobie i opowiedzenia drugim słyszanych i widzianych wypadków. To, co się w jej pismach moralnego i nauczającego znajduje, nie było tyle skutkiem rozmyślniej dążności, jak naturalnym połyskiem jej duszy. Użyteczność wypływała z jej pomysłów, jak woda wytryska z łona ziemi, jak powietrze krzepi i orzeźwia, jak święci i ogrzewa słońce. Przyrodzoną jest bowiem cnotliwych istot własnością, że lubo się nie zajmują wrażeniem jakie sprawiają na drugich, każdy ich czyn jest wzorem, każde słowo nauką, każde odezwanie się lepszego świata oddźwiękiem.

„Straciwszy już wtedy wzrok prawie zupełnie, w skutku niepoohamowanego niegdyś oddawania się czytaniu, zmuszona była przyjąć sekretarza, któremu dyktowała wysnuwające się z jej wyobraźni powieści; ale nie mógł nigdy wydażyć, gdyż to dyktowanie było zawsze jakby nieustannym i szybkim rozwijającym się opowiadaniem. Konieczne zaś przerwy, wynikające z niepodobienstwa pisania z takim pośpiechem, rodziły w rozplamionej wyobraźni autorki, tysiące myśli i porównań, których żadne pióro, jakkolwiek skore, schwytać i skręślić nie zdołało, i tych część największą w przepisywaniu opuszczać trzeba było. Nadzwyczajna ich mnogość przecięła przejrystość jej utworów, jak zbytnia obfitość kwiatów i owoców wysila urodzajne drzewa.

„Najpiękną Jaraczewskiej powieścią jest *Zofia i Emilia*; dyktowanie tego dziełka zabrało jej tylko trzy tygodnie, a jednak postępowała nieśmiało w tym pełnym dla niej rozkoszy zawodzie. Podług nagannej większej części dam polskich zwyczajem, nienawykła była do pisania w rodowitym języku, musiała więc zrazu sama siebie *przetłumaczać*. Lękała się także owego pierwszego pojawienia się w świecie literackim, niepewna uprzejmego przyjęcia, a chęć powstrzymania uskrzydłonej wyobraźni, nadała temu pierwszemu utworowi cechę jakiejś poważnej układności, w pośród której odbijają się atoli świeże obrazy, trafne spostrzeżenia i pełne tkliwości ustępy. Wtedy utworzyło się dla naszej autorki nowe i uroczyste życie, i wtedy nawet jej szczęście uzupełnieniem zostało, jak gdyby obraz w jej duszy odbity rzeczywistością był dla niej, a życie istotne, snem tylko przemijającym. Wrodzona jej dobroć jedynie ją skłaniała do uczestniczenia w zajęciach i rozrywkach otaczających ją osób; ale je tylko podzielała pozornie, myśl jej bujała w krainie marzeń. Dyktowała zwyczajnie bez przerwy, ale i bez natężenia umysłu, od dziewiętej zrana do obiadu, po obiedzie do wieczora, a nigdy jedna osoba nie nastarczyła pisać, bo Jaraczewską spoczynek tylko męczył.“

Po wydaniu *Zofii i Emilii* i ulubionego pisemka: *Upominek dla dzieci*, autorka nasza wydała w roku następnym *Wieczór adwentowy*.

Cel *Zofii i Emilii* sama autorka we wstępie podaje: „Najpożyteczniejszy sposób (mówi) udzielania swego doświadczenia jest częstokroć wyjawienie, jakim sposobem się go nabyło. Do tego każdy zwykle mniej więcej uderzony jest w życiu oczywistością jakiejś prawdy moralnej, którą w każdej ważnej okoliczności przytacza i stara się drugim dowieść. Tą nad którą najwięcej się zastanawiałam i o której najlepiej sądzić mogę jako kobieta, jest błędny kierunek dawany pospolicie w Polsce wychowaniu naszej płci,

którą nadto w poetycznym względzie za piękną płeć uważając, jak płonny kwiat troskliwie tylko pielęgnowają, mało starając się nadać tej roślinie mocy i użytku, tak jakby tylko do bukietu lub nietrwałego wieńca przeznaczona, do użytecznych krzewów nie należała rzędu.

„I tak najczęściej u nas naprzód myślą o rozwinięciu zwykłych tej płci powabów, potem o nadaniu jej powierzchownego wdzięku, ale nie istotnej podpory prawdziwych talentów; nareszcie starają się o zakończenie jej krótkiego i blabego zawodu jakimkolwiek małżeństwem, jak gdyby ten święty związek nie był przeciwnie istotnym tegoż zawodu początkiem.

„Tym sposobem wychowane u nas kobiety, uważane z dzieciństwa jak mile cacka, potem jak istoty przeznaczone niewolniczo iść jednym śladem, nie mające nigdy samoistnienia, i później nareszcie w wieku ułudeń, uważając się same jako heroiny wdzięcznego młodzieńczego romansu, niezdołnemi się stają wypełnić istotne swoje powołanie. Tworzą dla nich albowiem z życia ludzkiego komedię, spuszczając zasłony na właściwy jego cel i obowiązki i czyniąc je obcymi całej rozciągłości szczęścia i cnót zawartych w zawodzie dobrej żony, matki, pani i obywatelki, w smutnej je stawiają okoliczności wynagrodzenia przez drugą połowę życia, odebranego w pierwszej wychowania.“

Wieczór adwentowy przedstawia smutne skutki nieposłuszeństwa dla rodziców. *Pierwsza miłość, pierwsze uczucia*, większego rozmiaru powieść, najupodobanysz była dla samej autorki utworem; nazywała ją zwykle testamentem swego rozumu i serca, jakby przeczuwała zgon swój niedaleki.

W roku 1831 zamieszkała w Krakowie, gdzie i przed zamęciem kilkakrotnie przebywała, gdy odebrała wiadomość, że jej mąż umarł nagle, dotknięty cholera.

Cios ten był nad jej siły: iskra życia przygasła, zwolna zaczęła; wewnętrzna tęsknota rozdzierała jej serce. Dotknięta wkrótce nieuleczoną chorobą raka w piersiach, niedługo zgasła, d. 28 września 1832 r.

Wszystkie swe prace ogłaszała bezimiennie, a wydała drukiem:

- 1) *Zofia i Emilia*, powieść oryginalna, przez Polkę napisana. Warszawa 2 tomy 1827 r.
- 2) *Wieczór adwentowy*, powieść przez autorkę Zofii i Emilii, 2 tomy, Warszawa 1828 r.
- 3) *Pierwsza miłość, pierwsze uczucia*, powieść narodowa, przez autorkę Zofii i Emilii, 4 tomy, Warszawa 1829 r.

Należy tu i mała książeczka p. n. *Upominek dla dzieci*, o której wspomnieliśmy.

Dwa miała przyjemne zdarzenia w zawodzie swoim literackim. Będąc w Warszawie, wkrótce po wydaniu pierwszej swjej powieści, przechodziła przez Krakowskie-przedmieście. Szedł naprzeciwko niej młody człowiek, zatopiony w książce zapewne dopiero kupionej. Na twarzy jego żywe malowało się zajęcie, i w skutku tego, nie spostrzegając nadchodzącej z przeciwniej strony Jaraczewskiej, potrącił ją niechcący i o mało nie wyrzucił. Wstrzymała się zdumiona i spojrzawszy mimowolnie w czytana tak namiętnie książkę, poznała swoją Zofią i Emilię. Trudno sobie wystawić, jak ją ten mały wypadek ucieszył i z jakim upodobaniem opowiadała go wszystkim. Inną razą będąc na wsi, gdzie liczny dwór trzymała, mając wieczorem wydać polecenie, kazała zawołać jednego z swych ludzi; lecz go nie było w przedpokoju; wymieniła drugiego; nie było go także; trzeciego, toż samo; chłopców nawet służących przy kredensie nie było. Zadzwiwna i nieco zafasowana tym pospolitym ruszeniem, kazała poszukać zbiegów i znalaziono wszystkich zgromadzonych w kuchni przy stole, w około kucharza, najbieglejszego z pomiędzy nich literata, który z wielkim zadowoleniem całego grona, czytał głośno: *Wieczór adwentowy*. Była to dla Jaraczewskiej niemała radość, i snadnie autorka panią domu prześlagała.

Gruntowny a obszerny rozbiór wszystkich utworów naszej autorki dał Michał Grabowski w znakomitem swym dziele: *Literatura i krytyka*, Wilno 1840 r., w ustępie *Literatura romansu w Polsce*: (t. 2.), który temi słowy zamyka: „Trzy Jaraczewskiej romanse niewątpliwie są tak dobrą zwierciadłem dzisiejszego narodu polskiego, jak pisma Krasickiego były niemi przed 50 laty. Jako utwory poetyckie, są nawet wyższej ceny, bo za czasów Krasickiego nie było tej artystycznej formy, jaka jest w dzisiejszym romansie. Jaraczewska jest dobrym malarzem obyczajowym. Pisma jej uwodzą nas żywo w świat, na który jeszcze patrzymy, a który dla naszych potomków będzie już tylko historią. Należąc do tak nazwanej *szkoły klasycznej*, wielbi ona nieraz talenta poetyckie Osieńskiego, Morawskiego i Koźmiana, nie domyślając się za-

pewne w dobrej wierze, że jest nierównie od tych znakomitszym poetą, gdyż składa (czego oni nie czynią) w jasne, nadobne i mnogie obrazy, istotne życie i społeczny byt swoich ziomków.“

Nie słyszała już tej pochwały sprawiedliwej, nie pocieszyła nią strapionego serca zacna autorka. Był to tylko wieniec zasługi rzucony na jej mogiłę, godną wdzięcznej naszej pamięci. K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

Dajemy tu wypis z odezwy prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, nadesłanej do kilku tutejszych literatów, którzy są członkami Towarzystwa.

„Blizkim jest termin 500 letniej rocznicy założenia uniwersytetu krakowskiego. Czy zbieg okoliczności pozwoli uczcić ją publicznym obchodem, mogącym uczynić zadość wymogom tak uroczystej chwili, o tym powątpiewać nam przychodzi. Wszakże chociażby władzy, od której to zależy, obchód taki wypadło odłożyć na później, to przecież obowiązkiem jest naszym postarać się o to, ażeby wspomnienie chwili zamykającej 500 letnie istnienie szkoły głównej w Koronie, roznieść szeroko po kraju i przekazać wiekom późniejszym.

„W tym to celu Towarzystwo naukowe krakowskie postanowiło poświęcić tej pamiętce niektóre ze swych publikacji, bądź już do druku oddanych, bądź wkrótce drukować się mających. Gdy jednak wydaniem historycznych dokumentów uniwersytetu zajmuje się kommissya uniwersytecka, zamierzone zaś przez Towarzystwo publikacje, ze względu na ich przedmiot, jedynie stosowna dedykacja wiązałyby mogła z treści nastąpić mającego obchodu, uznało więc Towarzystwo za rzecz wielce pożądaną, wydać obok tego jedno lub więcej pism takiej osnowy, któraby sama przez się odnosiła się do uniwersytetu.

„Za dzieła tej treści uważa Towarzystwo:

1) Obraz uniwersytetu krakowskiego w r. 1864 obejmujący wiadomość o stanie nauk, liczbie i pracach profesorów, statystykę uczniów, tudzież historyczno-statystyczny opis wszystkich zakładów uniwersyteckich.

2) Pismo zbiorowe pod napisem: „Pamiętka 500 letniego jubileuszu uniwersytetu krakowskiego,“ złożone z pomniejszych prac członków Towarzystwa czynnych i korespondentów, a obejmujące bądź stosowną poezią, bądź ustępy z dziejów uniwersytetu, po jedynych biografie profesorów lub wychowawców uniwersytetu krakowskiego, zarysy zwyczajów, obyczajów, lub inne jakiegobądź szczegóły, pośrednio lub bezpośrednio uniwersytetu dotyczące.

„Do tej to pracy zbiorowej mam zaszczyt w imieniu Towarzystwa zaprosić czcigodnego kolegę, w przekonaniu że nie będzie mu trudno znaleźć w swojej tece gotowy, lub wypracować jakiegobądź szczegół, zgodny z treścią jubileuszowej pamiętki, i to tym bardziej, gdy Towarzystwu nietylko idzie o obszerność oczekiwanych artykułów, jak raczej o to, ażeby w tym piśmie pamiętnikowym objąć te wszystkie imiona, które na polu umysłowej pracy słuszenie zyskały uznanie i którym w przedsięwzięciu takim niewolno zostać na uboczu...“

Z umysłu przedrukowaliśmy prawie całą tę odezwę, ażeby czytelnicy dokładnie ocenić mogli cel i doniosłość zamierzonej przez Towarzystwo publikacji. Sądzimy że daleko łatwiej i pewniej przyjdzie ona do skutku, aniżeli zapowiedziane w Poznaniu przy końcu roku zeszłego wydawnictwo albumu na pamiętkę tysiąclecia zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej w Polsce. Towarzystwo oznacza dokładnie zakres artykułów, i wzywając do tej pracy wszystkich swoich członków i korespondentów, zapelnia książkę o własnych ze tak powiem domowych siłach, osiągając zarazem pewność, że najzasłużeńsi w narodowym piśmiennictwie przyłożą do niej ręki. Tym razem już nie dowolny wybór, ale ocenienie zasługi uznaniej już dawniej przez Towarzystwo, kierowało zaproszeniami. Niewiadomo nam czy ta książka pamiętkowa będzie illustrowana, odezwa bowiem zachowuje zupełne pod tym względem milczenie, a pożądanymby to było najprzód dlatego, że znakomitsi rysownicy nasi, tak samo jak literaci i uczeni, pośpieszyliby ze współudziałem; powtóre że illustracje w takiego właśnie rodzaju przedsięwzięciach literackich wielkie wyrządzą mogły usługi.

Portrety, jeżeli je dostać można, (a przy usilnym staraniu wszystko jest możliwem) byłyby wybornym dopełnieniem życiorysów, a w pracach przez zaproszonych literatów nadsyłanych, znajdują się niewątpliwie takie, które rysownikowi szerokie mogą otwo-

rzyć pole. Wszak przez te pięć wieków upłynionych, w historii uniwersytetu krakowskiego niejedna zajmująca zasła chwila, która zdolnemu pisarzowi nastroży pole do ciekawego artykułu; artykuł zaś ten ożywi się i dopelni drzeworytami, które przy zachowaniu ile możności historycznej prawdy, podwoją niewolę zajęcie, ale i korzyść dla czytelników. Koszt stosunkowo byłby niewielki, i łatwo dałby się pokryć z rozprzedaży tej książki, podwojonej i przyspieszonej tym sposobem; każdemu bowiem wiadomo, że ilustracje dla naszej publiczności czytającej są ważną dzisiaj przynętą.

W każdym razie szczerze życzymy powodzenia temu przedsięwzięciu, które będzie najstosowniejszym, a zarazem i najtrwalszym środkiem uczczenia rocznicy jubileuszowej założenia uniwersytetu krakowskiego. Dawno to już powiedziano, że książka pewniejszą jest daleko budową od kamienia, i dzieła tych którym pomniki marmurowe stawiano, przetrwały te pomniki i przetrwają je jeszcze na długie czasy. Kiedy siedm cudów świata runęło w gruzach, ósmy, a współczesny im wszystkim, Illiada, stanowi jeszcze dla nas przedmiot uwielbienia.

Nie wątpimy że zaproszeni przez Towarzystwo współpracownicy z tego zadania godnie będą się umieli wywiązać. W każdym bowiem razie podwójnie *pro domo sua* pisać oni będą, a taki przedmiot zdwaja wymowę, talent i siły.

Otrzymałmy list następujący:

„Jeszcze raz, szanowny panie, podnoszę głos, tak jak to w roku zeszłym uczyniłem. Oby nie stał się on głosem na puszczy, a przez wasze pismo z uszów przeszedł do serc i dusz ludzi zaufanych w swój majątek i położenie społeczne! Czemu dotychczas, mimo zachęce i mimo pochwał, niema ścisłego wymiaru sprawiedliwości dla pracujących w ciężkim zawodzie kształcenia młodego pokolenia? Czemu nędzna zazwyczaj płaca tych osób nie jest odpowiednią pracą? Ciasne serca i skąpe umysły nie pojmują tego, że dobre i umiejętne wychowanie dzieci daje korzyść nieocenioną. Ojcowie, zyskujący kapitał krociowy z takiego wychowania dzieci swoich, nie umieją jednak stosownie wynagradzać tych biednych istot, wyrzekających się wszelkich światowych uciech, (rzadko bowiem która nauczycielka wychodzi za mąż) które codziennym znojem i staraniem usiłują we wszystkich rodzicielską opiekę zastępować dzieciom. Najczęściej nawet i te krwawo zapracowane pieniądze nie bywają rzetelnie wypłacane. Mnóstwo można by nato przykładów przytoczyć i t. d. i t. d.“

Cały list mniej więcej w tym sensie, widocznie pisany jest pod wrażeniem jednego z tych postępów, tak surowo karconych przez korespondenta.

Otóż kwestya sama przez się dość ważna, szczególnie u nas zasługuje na zastanowienie; bo zbiegiem okoliczności, w każdej mniej więcej majątniejszej rodzinie, zwłaszcza co do dziewcząt, przekładano zwykle wychowanie domowe nad publiczne, i z tego powodu klasa nauczycielek i nauczycieli prywatnych jest u nas bardzo liczną.

Przedewszystkiem musimy ostrzedz, że nie mówimy tu o Francuzkach, Szwajcarkach, Niemkach ani Angielkach, których kraj nasz posiada niemały zasób. Oprócz rzadkich, bardzo rzadkich wyjątków kobiet rzeczywiście ukształconych, które na wagę złota opłacać trzeba, cudzoziemki te, oprócz wadliwego mówienia swoim ojczystym językiem i mnóstwa nieraz nagannych narowów, podejrzanych wyrażań i t. d. i t. d., niczego zresztą więcej nie umieją nauczyć dzieci opiece ich powierzono. I niema się temu co dziwić. Złe bardzo wróżyć należy o osobie, która bez żadnej gwałtownej przyczyny udaje się w dalekie strony na niepewny zarobek, zwłaszcza do naszego kraju, na którego zastanie się w cywilizacji cudzoziemcy żalą się ogólnie. Skarżą się tu na wszystko, wynosząc pod obłoki swoje ojczyznę, a pozostają jednak, roznosząc pomiędzy dziećmi zarazę tych swoich cudzoziemskich wyobrażeń. Mówimy z przekonania, z doświadczenia nawet. Bardzo mało z nich która potrafi pisać ortograficznie; co więcej, gramatycznie mówić nie potrafią, czegoż więc dzieci od nich nauczyć się mogą? Są to wszystko mniej więcej służące, modniarki, szwaczki i t. d., którym zarobek źle idzie na miejscu; posłyszały o Polakach że mają pieniądze na wyrzucenie i przyjeżdżają tutaj zebrać sobie emeryturę. I sami psujemy takie jęmościanki, bo przepłacając je, podwyższamy ciągle ich wymagania, a ohodzeniem się naszym wbijamy w nie przekonanie, że na ich nieuctwie i zupełnej nieświadomości zachowania się to-

warzyskiego nikt się tu poznać nie umie. Mojem zdaniem, kiedy jesteśmy już w tak nieszczęśliwym położeniu, że umiejętność języków obcych niezbędną jest dla nas, a pragniemy dzieciom naszym oszczędzić przykrego nieraz w późniejszym wieku ślęczenia, przez wprawę w mówienie językami obcymi w pierwszej młodości nabytą, należałoby (jeżeli komu fundusze nie wystarczają na utrzymanie takiej guwernantki, która by rzeczywiście czegoś nauczyć mogła), przyjąć wprost służącą, tak zwaną bonę cudzoziemkę do dzieci, przy której one tak samo się nauczą mówić, jak przy każdej innej, a przynajmniej nietyle będzie pretensyj i wymagań. Ale tych bon niepodobna prawie dostać; powiedziano już bowiem, że każda służąca przybywająca tutaj, kieruje się wnet na guwernantkę, takich zaś które rzeczywiście jakie takie wykształcenie posiadają, trudno się dopłacić.

Najlepiejby więc może było, zryzykować się już na to bolesne przekonanie, że dzieci mniej czystym akcentem będą po francuzku mówić, i przyjąć do nich nauczycielkę Polkę, o której przynajmniej łatwiej wiedzieć kto ona jest i żką, jaki stopień jej wykształcenia, a głównie jakie stanowisko moralne?

Otóż tutaj właśnie dziwny zachodzi wypadek. Niebrak nauczycielek Polek z rzeczywistym wykształceniem, z patentami nauczycielskimi i dających ręką, że dzieci oddane w ich ręce pokierowane zostaną umiejętnie i z pożytkiem. Tymczasem nauczycielki te, prawie wszystkie pochodzące z porządnych rodzin, a zmuszone smutnym zbiegiem okoliczności do szukania sobie same zarobku, pozostają bardzo często bez pomieszczenia, podczas kiedy lada Francuzka, zamiast pilnowania dzieci mizdrząca się w ogrodzie publicznym do młodych przechodniów, wyrwaną bywa z rąk do rąk. Zapłaty jaką ofiarują wykształconym Polkom, niktby nie śmiał zaproponować tym mętom, które zagranica na nas zsyła. Polka musi być przynajmniej o połowę mniej płatna od cudzoziemki, to ogólna i konieczna zasada. I dlaczego? Bo przedewszystkiem uczy ojczystego języka, który jest najniepotrzebniejszy; można się go bowiem naostatku byle jako wyuczyć, a ma tę wadę, że mówi po polsku i dzieci wiedzą o tym, więc nie chcą się do niej po francuzku odywać, bo im łatwiej w ojczystej mowie.

Dziwniejszemu jeszcze jest może, że kiedy lada jaka Francuzka przyjmowana jest w domu na stopie równości, poufałości niemal, Polce zawsze prawie dają uczuć, że się znajduje w służebnictwie. Dla niej to, dla domowej nauczycielki naszej, wynaleziona została ta powolna męczarnia, najstraszniejsza może ze wszystkich, nieokręślonego położenia towarzyskiego. Od państwa, aż do służących, aż do dzieci nawet, wszyscy to jej dają do zrozumienia. Jej zawsze dostaje się ostatnia rola, jej dają uczuć że jest niejako płatną wyrobnicą umysłową, osłabiając nawet dla niej poważanie i szacunek dzieci oddanych pod jej opiekę. Jakaż niekonsekwencya, jakaż niedorzeczność! I częściej to wydarza się, niżby się zdawać mogło, że naprzykład w powozie mała dziewczynka zabiera miejsce w tyle przy matce, a nauczycielkę na przodzie sadzają. Przytaczano nam tego imienne przykłady.

Jeszcze mężczyzna łatwiej sobie jakoś poradzi; ale te biedne kobiety! Słusznie czyni korespondent, upominając się za nimi, pocziwa bowiem i użyteczna ich praca raczej na szacunek i odznaczenie, aniżeli na upokorzenie zasługuje, i sądzimy że ci którzy tak boleśnie dają im uczuć mniemaną wyższość swojego położenia towarzyskiego, więcej sobie aniżeli im uwłaczają.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu fakt ogłoszony przez jednego z kronikarzy paryżkich, a tegoż samego przedmiotu dotyczący.

W jednym z najznakomitszych, arystokratycznych domów przedmieścia św. Germana w Paryżu, potrzebowano nauczycielek. Nastrożyła się jakaś Angielka, wdowa po pastarce, osoba niemłoda już, bardzo przyzwyczajona powierzchności i starannego wychowania. Ale pani domu, która powierzała jej wyłącznie opiekę nad swoją córką, szło przedewszystkiem o to, a żeby się przekonać czy nauczycielka potrafi zachować w towarzystwie takt przyzwoity, a tym samym czy nauki jakie z jej przykładu i rady młoda księżniczka czerpać będzie, rzeczywiście wyjdą jej na korzyść. Postanowiono więc odbyć próbę stanowczą i sam pan domu wziął na siebie główną w niej rolę.

Księżstwo X. wydawali właśnie podówczas wielki obiad dla bliższych swych znajomości. Na tym obiedzie miało się znajdować dwóch czy trzech dyplomatów z żonami, małżonka marszałka Francji, jakaś pani ministrowa i kilka innych osób niezaprzeczenie

wyższego społecznego stanowiska. Kiedy wszyscy byli już zgromadzeni i marszałek dworu księcia otworzył podwoje od sali jadalnej, dając znać że obiad jest na stole, gospodarz domu, z wyłączeniem wszystkich znakomitych dam znajdujących się w sali, zbliżył się do nauczycielki, podał jej rękę i poprowadziłszy ją do stołu, posadził obok siebie na honorowym miejscu. To niezwykłe właśnie odznaczenie było zapowiedzianą próbą, do której wszyscy znajdujący się tam goście byli wtajemniczeni. Oczekiwano jedno z dwojga: albo że nauczycielka wzdragać się będzie z przyjęciem zaszczytu, który uwłaczał niejako powadze pani marszałkowej i ministrowej, albo że weźmie grzeczność księcia za dobrą monetę, sądząc że ten zaszczyt nieznanym jej zasługom słusznie się należy. Ale ani jednego ani drugiego nie uczyniła ona; owszem, z najzupełniejszym taktem i przyzwoitością przyjęła bez żadnych wypraszań się ofiarowane sobie ramię i usiadłszy do stołu, potrafiła na pierwszym miejscu zachować się tak skromnie, jak na ostatniem. I księżę i księżną i wszyscy obecni wyrzekli odrazu, że to osoba pełna taktu; przyjęciem bowiem bez żadnych ceregieli ręki sobie ofiarowanej, dowiodła że wierzy w zupełną znajomość świata gospodarza domu, że to co on czyni żadną miarą niestosownem być nie może i że nie należy go w tym poprawiać; a skromnym zachowaniem się swoim przy obiedzie przekonała wszystkich, że zaszczytu tego nie uważała jako uświęcenie wyższego jej położenia w towarzystwie. Od tego też dnia zajęła w tej rodzinie miejsce nie płatnej nauczycielki, ale przyjaciółki domowej.

Otrzymałem list w sprawie o lekarstwa, podniesionej w zaprzeszłej kronice. Nieznajomy mi korespondent tłumaczy choć w części pewną wysokość cen, jakie panowie aptekarze każą sobie płacić, wykwinnością flaszeczek, etykiet, złożonych papiérków, kolorowych sznureczków i t. d., w których obecnie towar apteczny przesyłany bywa zamożniejszym klientom. Na niektórych flaszeczkach umyślnie znaczoną jest firma i numer; litografia także kosztuje niemało, a to wszystko z konieczności podwyższa cenę lekarstwa.

Wierzę temu, ale w najlepszym razie stanowi to tylko różnicę kilku groszy na pojedynczej dostawie. Nie o kilka groszy zaś tu idzie. Autor listu twierdzi zarazem, że lekarstwa za tą samą receptą w jednej lub drugiej aptece stalowane, rozmaitemi oznaczane bywają cenami. Nie sprawdzaliśmy tego faktu, ale jeżeli istnieje rzeczywiście, jest on godnym uwagi i silnie popiera pierwotne twierdzenie nasze. Bo wszakże istnieje też sama dla wszystkich aptek taksa, niepodobna więc ażeby stosownie do ulic, materyały do wyrobu lekarstw wchodzące zmieniały swoją cenę.

Z powodu kwestyi rzuconej przez nas w ostatniej kronice o uroczyści Szyllerowskiej, otrzymałmy list bezimienny pana X.X., udzielający w tej mierze niektóre objaśnienia, z żądaniem umieszczenia takowych. Jakkolwiek nie mamy obowiązku ani zwyczajowo uwzględniać listów bezimiennych, niepopartych nazwiskiem odpowiedzialnym, tym razem jednak chętnie oddajemy hołd prawdzie, bo przekonaliśmy się naocznie, że w istocie (jak nam donosi korespondent) summa zł. 6000 zahipotekowaną jest na nieruchomości Szyllerowskiej, a procent od tej summy, według zapewnienia pana X.X., przeznaczony jest na stypendyum dla jednego z celujących uczniów tutejszych. Piękny to cel zaiste i w zupełności pożyteczność jego uznajemy; zawsze jednak mamy prawo zapytać, co się stało z *całkowitym* zyskiem, którego owe zł. 6000 stanowią tylko *resztę*, i czy znacznej części onego nie obrócono czasem na podarek dla pani baronowej Gleichen-Nusswurmu.

W końcu, na twierdzenie bezimiennego korespondenta, że sprawozdawca tygodniowy wiedzieć powinien z jakich osób składał się komitet Szyllerowski, odpowiadamy, że znać osoby które nigdy i nigdzie jawnie nie występowały, nikt nie ma obowiązku. Upominaliśmy się kilkakrotnie o publiczne zdanie sprawy ze stanu tych funduszy, a nie doczekawszy się skutku, czuliśmy się w prawie wyrażenia bez ogródki naszego zdania, i zawsze czynić to będziemy, pomimo nawet gnięwu owych *milionów*, (tak!) mających stanąć w obronie członków komitetu Szyllerowskiego.

W chwili już oddania kroniki do druku, otrzymujemy wiadomość o śmierci p. Michała Grabowskiego, ostatecznie dyrektora głównego Kom. w. r. i o. p. Blizsze ocenienie zasług pisarskich tej znakomitości na polu literatury krajowej, odkładamy do następnego sprawozdania.

GROTA ŁOKIETKA W OJCOWIE.

Natura...

Ty w ziemi masz ustronne od oczu warsztaty,
Tam prosty kamień w rubin przemieniasz bogaty,
Twa moc w lochach Ojcowa kroplami wyciska
Wiszące podziemnego ozdoby sklepiszka.

J. Chreptowicz.

Przed kilkunastu laty, podczas wakacyj, wybrałem się do Warszawy. Ale niestety! w sam dzień wyjazdu zaszła przeszkoda, z przyczyny nagłej śmierci matki mojego szkolnego kolegi, który wspomniał mi nie na swój koszt obiecał pokazać mi stolicę królestwa.

Zawiedziony i smutny wróciłem do domu, patrząc z żalem na pasport zmarnowany i z rozpaczą położyłem się spać wśród białego dnia. W parę godzin potem przebudziwszy się, wziąłem książkę leżącą na stoliku i otworzyłem ją: nadpis rozdziału, który nawinał mi się na oczy, był *Ojców*.

Czarowna myśl zaświtała w mej głowie. Pasport mam, i czegoż więcej trzeba? Więc do Ojcowa!

Cały majątek jaki wówczas posiadałem, składał się z pięciocentowego papiérka. Na podróż z Krakowa do Ojcowa, Pieskowej skały i Grodziska, może to trochę za mało ale siedemnastoletni student nigdy na takie dzieciństwa nie zważa.

Z tłumoczkami i kijem w rękę, puściłem się pieszo ku Szycom, a przenocowawszy tutaj, przez Wielką wieś i Białą kościół zastąpiłem w dolinę Ojcowską.

Uroczy ten wąwóz, z obu stron strzeżony przez skamieniałe obrzyny skał, z strumieniem szybko pędzącym po głazach, do najwyższego stopnia rozmarzył młodzieńczą duszę. Co chwila zatrzymywałem się i pożerałem wzrokiem fantastyczne grupy, co chwila zakręt doliny coraz piękniejsze nasuwał widoki. Ale zachwycenie moje dosięgło szczytu, kiedy nagle z pomiędzy skał białych wynurzyła się sześciokątna baszta Ojcowskiego zamku, nad przepaścią zwieszona zwaliska i szczyt góry Chelm, nad zamczyskiem panujący.

Stałem długi czas oczarowany, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Wtém nagle ktoś z boku pozdrowił mnie wieszczeniem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! odrzekłem odwracając się. Opodal stał włościanin wysoki, dobrze zbudowany i milego wejrzenia.

— Panicz pewnie z Krakowa? zagadnął.

— Z Krakowa, gospodarzu.

— I przyjechali obejrzyć naszą dolinę?

— Przyszedłem pieszo, bo na jazdę to u studenta o pieniądze trudno.

— A czy panicz trafią wszędy, bo jak nie, to trzeba przewodnika zgodzić.

— Cóż mnie tam po przewodniku? odpowiedziałem. Czy ja się to o drogę nie potrafię dopytać? Sam wszędzie trafię.

— Ale nie do groty, odrzekł włościanin, tam trafić bez przewodnika niełatwo.

— A czy przewodnik dużo kosztuje? zapytałem.

— Ha, trzeba mu będzie dać ze trzy złote.

— Ba, mój gospodarzu, odpowiedziałem, łatwo dać temu co ma; ale ja się wam przyznam otwarcie, że na całą drogę ledwie zebrałem pięć złotych. To o czymże wrócić?

Włościanin rozśmiał się serdecznie, a potem rzekł:

— Dobrze, mój panicz, kiedy macie tak mało pieniędzy, to już ja wam będę przewodnikiem i nie dacie mi ani grosza. Dzisiaj i tak nie mogę robić, bo to mamy Wniebowzięcie N. Panny; właśnie z kościoła wracam.

W towarzystwie tedy poczciwego kmiecia, puści-

dy. Jaskinia jest sto kilkadziesiąt kroków długa, a trzydzięci kilka szeroka; wysokość jej, o ile przy świetle rozpalonego łuczywa rozpoznać można było, wynosiła najmniej 10 szańi.

Cisza głęboka zalegała jaskinię, a trzask palącego się łuczywa i szelest ściekających kropel wody bynajmniej nie psuły harmonii spokoju. Siedząc na glazie, rozpatrywałem się po ścianach skalistych, którym migolliwe płomienie ognia pozorny ruch nadawały. Przewodnik dorzucał na stos gałęzi jałowcowych, a dym przyjemną wonią napełniał przestrzeń.

— Czy też wiecie, mój gospodarzu, że jeden z królów polskich szukał w tej jaskini przed nieprzyjacielem schronienia? rzekłem, ciesząc się wrażeniem jakie wywrę eurydyceją swoją na prostacku.

— Ho, to nie w tej, mój panicz, odrzekł kmieć. Król Łokietek ukrywał się w innej pieczarze na Chelmskiej górze. Ta zowie się *Ciemną*, a tamta *Królewską*.

— Jakto, to wy wiecie o królu Łokietku? zapytałem zdziwiony.

— O ba, panowie myślicie że sięjeno z książek można nauczyć rozumu. W tej jamie to się ludzie chowali przed Tatarami, ale to już temu bardzo dawno. Tatarzy to byli wielcy okrutnicy: palili wsie, zabierali dobytek, a ludzi na miejscu zabijali. Ale wtedy cała dolina Ojcowska, wszystkie pola wedle Skały, Lubuszowej, Wielkiej wsi, het po sam Kraków były zarosłe lasami. Więc jak się nasi chłopcy pokryli w jamach, ani rusz żeby ich znaleźć. Rozgniewani o to, zemścili się na Krakowie i wszystkich ludzi pozabijali, aż się Wisła krwią zafarbowała. A nasi przez dwa lata mieszkali w *Ciemnej*, bo się bali żeby Tatar nie wrócił.

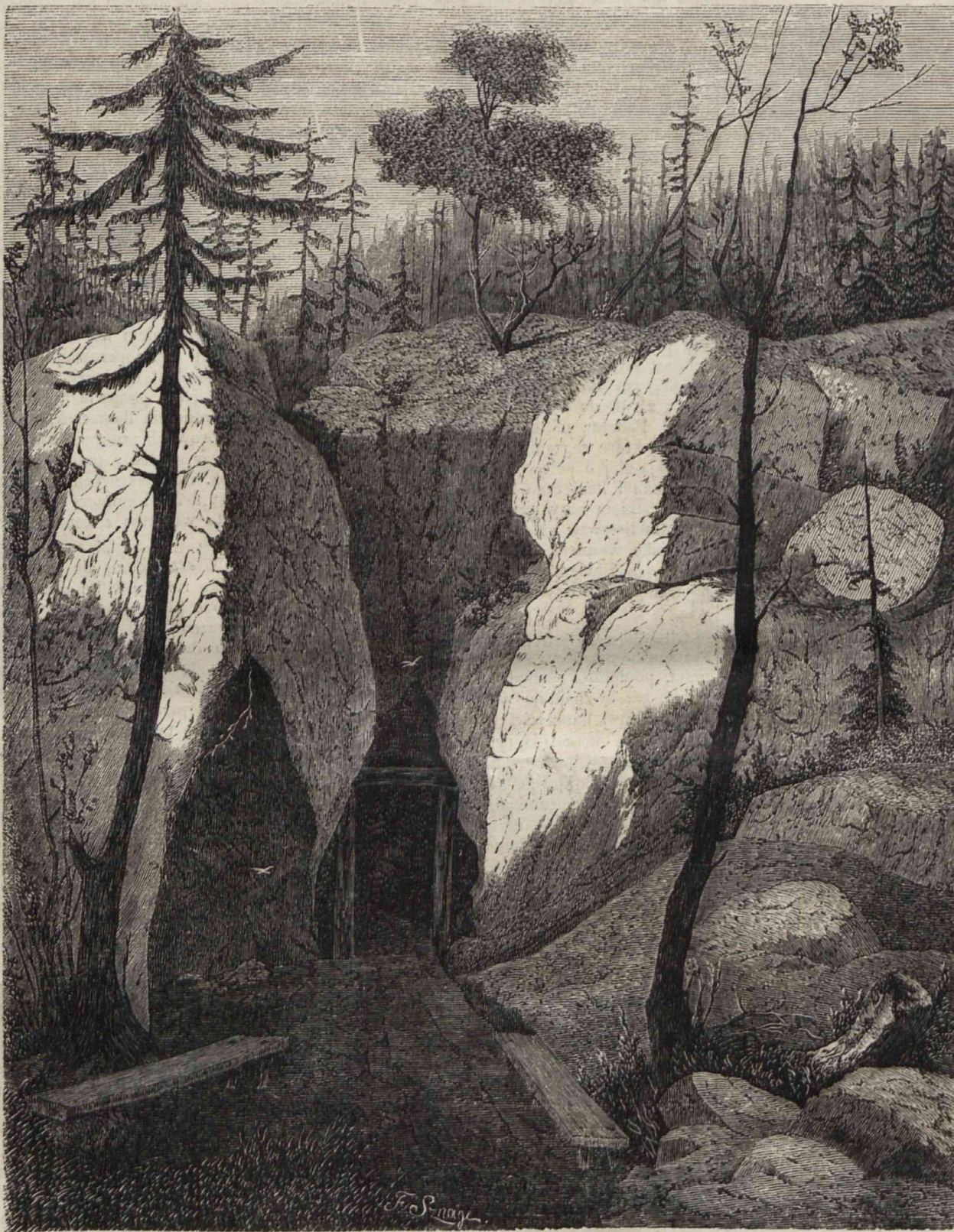
Z jaskini *Ciemnej*, powędrowaliśmy do *Królewskiej*. Ta ostatnia leży nierównie wyżej. Przystęp do niej jest bardzo piękny. Rozpadlina skały, długa na kilkadziesiąt kroków, wysłana mchem aksamitnym, osłonięta z góry konarami drzew, wiedzie do wnętrza. Dłuższa ona od *Ciemnej* i zupełny brak światła różni ją od poprzedniej, do tamtej bowiem cokolwiek jasności wdziera się przez szczeliny. I tutaj zmuszeni byliśmy rozalać ogień, a ja, korzystając z usposobienia mojego przewodnika, zagadnąłem go o króla Łokietka.

— Niby to panicz nie

czytali o nim w książkach, odrzekł włościanin.

— To prawda że czytałem, ale samiście dopiero mówili, że nie tylko z książek można się nauczyć rozumu.

— Król Łokietek, mój panie, odrzekł mi gospodarz, wedle tego jak ja słyszałem między naszymi, był malutki, bo ledwie drugim ludziom sięgał do łokcia, ale zato bardzo krzepki. Miał taką szablę, co centnar ważyła, a przecież nią wywijał jak piórkiem. Otóż poswarzył on się z królem niemieckim, bo kazał kilku Niemcom poćcinać głowy w Krakowie; z tego wyszła wielka wojna. Łokietek bronił się dobrze, ale cóż kiedy na taką wielką siłę nie mógł sobie zo szlachtą poradzić. Przyszło w końcu do tego, że sam jeden został i błąkał się po lasach, a Niemcy go ścigali. Wreszcie zaszedł do nas i przez miesiąc calut-



WNIJŚCIE DO GROTY ŁOKIETKA.

łem się natychmiast w drogę. Nie będę wam opisywał, czytelnicy, ani Ojcowskiego zamczyska, ani przepysznego widoku z góry Chelm na Kraków i Tatry, ani pustelni na Grodzisku, ni zamku Pieskowskiego, opisy bowiem tych miejsc albo znacie już z Tygodnika Ilustrowanego, albo też pismo to kiedyś je zamieści. Drzeworyt zresztą w dzisiejszym numerze Tygodnika podany, wymaga tylko opisanie wnętrza grot Ojcowskich; na tём więc nateraz się ograniczę.

Przykrą, skalistą ścieżką wspinał się mój przewodnik, a ja, mimo utrudzenia, rażno za nim postępowałem. Nakoniec stanęliśmy u wnijscia pieczary. Zaslaniała je gęsta krzewina, przez którą przeciskać się trzeba było. Samo wejście nie jest także bardzo wygodnym; ale zato wewnątrz wynagradza te małe tru-

ki siedział w królewskiej jamie. Chłopi się wnet o nim zwiędzieli, nosili mu jeść, a on się z nimi tak pięknie obchodził, jakby z książętami. Więc też bardzo pokochali króla i umyślili go obronić od napastników. Rozbiegło się to po różnych wsiach, zebrały się gromady, król wyszedł ze schowku i pociągnął z chłopami na nieprzyjaciela.

— No i jakże, zbili go?

— To się wie że zbili, bo chłopów było bardzo dużo, a pozlatywali się do nich i żołnierze rozproszeni; więc już łatwo poszło.

— A potem?

— Potem to już nie wiem, jeno tyła, że syn Łokietka, jak po ojcu został królem, to na pamięć tego że się tu jego tatuś chował, wystawił naprzeciw królewskiej jamy zamek i przezwiał go *Ociec*, a potem ludzie przerobili to na *Ojców*.

Tyle dowiedziałem się od poczciwego włościanina, który oprowadzając mnie po całej dolinie, zaprosił na

go czasu jego następcy wrocławskimi biskupami (*Episcopi Vladislavienses*) zwać się zaczęli.

Osiedlenie stolicy diecezji najstarszytniejszej w całej Polsce dało początek osadzie, późniejszemu miastu, którego dzieje ściśle z gmachem tym się łączą, tak dalece że historia tutejszego katedralnego kościoła, jest zarazem i historią miasta, które z nim niejako wzrosło, wzbogacało się, chyliło do upadku i znowu się dźwigało. Biskupi albowiem kujawscy wielkie niegdyś mieli znaczenie w polityce i kościele za dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Oni po arcybiskupach goięzińskich pierwsze zajmowali miejsce, mieli prawo zwoływania sejmów, ogłaszania i koronowania królów, w razie gdyby prymasi nie mogli z jakichbądź powodów dopełnić tej powinności. Najznakomitsze też imiona w kraju, ludzie chlubnie zapisani w naszej historii, zasiadali na wrocławskiej katedrze, którą słusznie ich Panteonem zwać można.

Wspaniały atoli gmach terazniejszy, na wzgórzu

dową świątyni w r. 1365 dokończyli w bogate ją sprzęty zaopatrzył.

Późniejsi biskupi przyozdabiali ją bądź zewnątrz, bądź w środku, tak dalece że z postępem czasu stała się wspólnym pomnikiem wrocławskich pasterzy. I tak ściana naczelną, zębowanym filigranem zakończona, jest pamiątką biskupa Jana Gruszczyńskiego, który został biskupem krakowskim w r. 1463. Kapitularz z cegły czarnej i czerwonej od frontu w zygzak, z boku zaś w szachownicę układany, jest dziełem Macieja Drzewickiego, wyniesionego na biskupstwo w r. 1513, który został prymasem 1531 r. Wawrzyniec Gembicki, wybrany z biskupa chełmskiego w r. 1609, wystawił piękny złożony krzyż na sanktuarium, a front kościoła ślicznym posągami Boga-Rodzici przyozdobił. Następca jego Paweł Wołucki, zmarły w r. 1622, zbudował miedziane drzwi frontowe z herbem diecezji i kaplicę Najświętszego Sakramentu. Wieżę pokrył miedzią w r. 1687 Bonawentura



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WŁOCŁAWKU. (Rysował z natury Kozarski.)

nocleg do swęj chaty, uczęstował kwaśnym mlekiem z ziemniakami i długo w noc przy blasku łuczyna płonącego na kominie o różnych rzeczach rozprawiał.

Na drugi dzień puściłem się z powrotem do Krakowa.

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WŁOCŁAWKU.

Włocławek należy do rzędu miast w królestwie, które zachowawszy wszelkie pamiątki starożytności, potrafiły i w czasie obecnym być swój rozwinąć. Od wieków gród ten jest siedliskiem handlu zbożowego w Polsce i stolicą biskupów kujawskich, którzy podług uświęconej wiekami, acz krytyką historyczną jeszcze nie udowodnionej tradycji, przenieśli ją tutaj z Kruświcy, między rokiem 1156 a 1160. To jednak nie ulega już wątpliwości, iż biskup kujawski Honoldus (*Enoldus*) pierwszy osiadł w Włocławku i od te-

wśród grupującego się na wybrzeżu Wisły miasta okazał i poważnie wznoszący się, nie jest pierwotną wrocławską katedrą, gdyż dwie poprzednie zostały spalone w czasach srogich napadów krzyżackich. Pierwsza nawet katedra biskupia Honolda, był to mały drewniany kościółek, wystawiony nad samym brzegiem Wisły, na którego miejscu w pół wieku potem wznosił obszerniejszą murowaną świątynię Michał Godziemba, wielki i szlachetny biskup tutejszy, a gdy i tę Czesi wraz z Krzyżakami spalili do szczytu w r. 1328, skoro tylko nastąpił spokój w kraju, zabrał się do budowy trzeciego terazniejszego kościoła w r. 1340 Maciej Gołanczewski herbu Topór, jeden z najznakomitszych pasterzy kujawskich, lecz już na innym miejscu, w większym nieco od Wisły oddaleniu. Podług świadectwa kronikarzy, zacny ten biskup budował kościół przez 25 lat i nie doczekał się końca, a skolatany wiekiem, utraciwszy wzrok, zrzekł się biskupstwa na rzecz synowca swego Zbiluta, który bu-

Madaliński, zmarły w r. 1691, a także pokrycie na części kapłańskiej dał Walenty Czapski w r. 1750. Początkowo też głoski nazwisk i tytułów tych wszystkich biskupów, oraz herbowe ich godła suto złożone, ze wszystkich stron ozdabiają dachy tej świątyni. Nie było bowiem prawie biskupa tutejszej diecezji, co by nie zostawił tu jakiejś po sobie pamiątki, a jeżeli nie innego, to przynajmniej herb swój zawsze gdzieś umieścić. Nigdzie też tyle nie błyszczy herbów, co w wrocławskiej katedrze; zewnątrz i wewnątrz jej murów, wysoko i nisko, na ołtarzach i po ścianach, wszędzie widać godła rodowe tutejszych pasterzy.

Katedra wrocławska stawiana jest wyłącznie z cegły gładko obrabianej, na wapno bez żadnego tynku. Odrzwia nawet i inne drobniejsze ozdoby ma ceglane. Styl budowy ściśle gotycki, część kapłańska trzema ścianami zakończona, a po bokach ściany naczelną dwie wyniosłe wieże, z których każda od fundamentu podług innego budowana planu. Boczne kruz-

ganki od nawy niższe, kruchta, kilka kaplic i innych pomniejszych przybudowań, oraz liczne murywane przypory czyli szkarpy, obok wyniosłych, zębaty zakończone szczytów ścian poprzecznych, tworzą grupę murów bardzo przyjemnie w oko wpadającą, szczególnie od strony miasta. Nad nawą, przy samem onę połączeniu z częścią kapłańską, wznosi się mała kopułka, mieszcząca w sobie sygnaturkowy dzwonek. Podobnie kopułkami miedzianymi zakończone są i wieże, a temu ich przykryciu to jedno tylko zarzucić można, że w stosunku do wysokości murów jest za niskie. Dach na wszystkich częściach tego kościoła jest miedziany, a kule oraz krzyże kończące presbiterium i kopułki wieżowe pięknie w ogniu złocone. Okna wszystkie podłużne, w ostrołuk u góry zakończone, w części kapłańskiej z ciosu misternie wyrabianymi filigranami ozdobione, w nawie prostym tylko przedzielone słupem. Filigrany te w tym są osobliwe, że się nie powtarzają, ale każdy z nich jest odmiennym. Okna pierwotnie wypełnione były szymbami kolorowymi, przedstawiającymi w przeszłości figury różnych świętych. Szyby te jednak dochowały się tylko w jednem oknie środkowem w samem presbiterium, z kąd je przy ostatniem wewnętrznem odnawianiu katedry, przed kilkunastu laty dopełnionem, kapituła do najbliższych bocznych okien przeniosła i naprzemian z zwyczajnymi szymbami w szachownicę umieścić kazala. Zyskały na tym owe ze wszęch miar ciekawe kolorowe szyby, bo są teraz widoczne, kiedy je przedtem wysoki główny oltarz zasłaniał. Są one pomnikiem sztuki pierwszych lat XIV stulecia i widocznie wykonane ręką która się na wzorach trzynastego wieku kształciła. Każda z nich przedstawia dwie figury siedzące i złożona jest ze szkieł różnokolorowych.

Wnętrze katedry wrocławskiej, którego wizerunek podaliśmy już w nrze 204 Tygodnika, niemniej jest wspaniałem. Do krótkiego opisu tegoż, jakimś tam podali, dodajemy, iż ogromny, na złaczeniu nawy z częścią kapłańską wznoszący się krucyfik, uroczyste sprawia na wchodzących wrażenie. Wnętrze to ozdobione jest jeszcze malowidłami wystawiającymi historią życia Boga-Rodzicy, które sprawił Andrzej Lipski herbu Grabie, poprzednio biskup łucki, a od r. 1623 na tutejszej katedrze osadzony. Oprócz tego ma na sklepieniach w presbiterium herb króla Stefana i rozmaite inne dobrodziejów i współfundatorów kościoła.

Pod względem pomników historycznych niemniej świątynia ta jest ciekawą. Znajdują się w niej liczne i mniej więcej pod względem sztuki znakomite nagrobki biskupów i prałatów tutejszej katedry, których w samęj nawie jest sześć. Z tych najznamienitszym i zarazem najdawniejszym jest pomnik Piotra z Baina, herbu Łódzia, Moszyńskiego biskupa, wystawiony staraniem przyjaciela jego Filipa Callimacha w r. 1493. Pyszny ten pomnik z marmuru czerwonego, albo w pracowni samego Wita Stwosza sławnego krakowskiego rzeźbiarza, albo przez którego z jego uczniów wykonany, jest znakomitą ówczesnej sztuki rzeźbiarskiej dziełem i wystawia w pontyfikalnym ubiorze leżącego biskupa, w prawej ręce księgę ewangelii, w lewej pastorał trzymającego. Dłuto śmiałe, a zarazem w wykonaniu aż do drobiazgowości posunięte. W główce na końcu pastorała wyrobiona figura Boga-Rodzicy z dzieciątkiem Jezus na ręku, tak we wszystkich swoich szczegółach jest wykończoną, jak główna figura pomnika. Na postumencie tablica z napisem, którą z boku dwaj klerycy w dalmatykach trzymają. Napis następujący: *Petro de Baino Vladislavien-si Pontifia (tak) religioso et sapienti positum procuratione Callimachi eapejetis (experientis) amici concordissimi Anno 1493*. Litery napisu rzymskie, wklęsłe, na marmurze ryte. Wyrobienie posągu biskupa, zwłaszcza pod względem fałdowania ornatu, przypomina grobowiec króla Kaźmirza Jagiellończyka w Krakowie, jedno z arcydzieł Wita Stwosza. Pomnik ten umieszczony jest przy pierwszym lewym filarze nawy, licząc od strony presbiterium.

Na następnym filarze po téjże stronie znajduje się nagrobek biskupa Bonawentury Madalińskiego, zmarłego w r. 1694. Jest to prosta tablica z marmuru czarnego, mająca na sobie herb Laryssa wyłożony, i podobnie złocone nasadzane litery pogrobowego napisu. Naprzeciw pomnika Piotra z Baina na odpowiednim filarze nawy, stoi nagrobek biskupa Jana Karnkowskiego, który sam sobie w r. 1536 jeszcze za życia postawił. Nagrobek ten stanowi wielka brązowa tablica, z napisem z wypukłych liter złożonym i herbem Junosza. Herb ten, pięknie wypukłorzeźbą wykonany, zamieszczony jest w wieńcu przez aniołów utrzymywany. Karnkowski umarł w r. 1538, to jest we dwa lata po wystawieniu sobie nagrobka. W posadzce na środku nawy wielka marmurowa tablica,

z rytym w głąb napisem, jest grobowcem biskupa Przerembskiego, zmarłego w r. 1513. Pod względem sztuki żadnej nie ma wartości.

Za pomnikiem biskupa Madalińskiego, na następnej kolumnie znajduje się pomnik Aleksandra Madalińskiego herbu Habdank, kantora tutejszej katedry, a zarazem płockiego kustosa. Prałat ten, zmarły w r. 1692, wiele się pewnie przyczynił do zewnętrznej ozdoby wrocławskiego tumu; herb albowiem jego, oraz cyfrę A. M. CC. VI. E. i rok 1692 widać na jednej z przypor nawy po obu stronach otaczających. Nagrobki późniejszych biskupów Czapskiego i Dembowskiego niczem się także pod względem sztuki nie odznaczają.

Kościół katedralny wrocławski ma z boku cztery kaplice, z których dwie, to jest Najświętszego Sakramentu i św. Marcina, do najdawniejszych fundacyj należą, jak o tym cała wewnętrzna onych budowa, a mianowicie gotyckimi łukami poprzerynane sklepienia przekonywają. Pierwsza z nich, dosyć obszerna, mieści w sobie liczne nagrobki, jako to: Pawła Wołuckiego, herbu Rawicz, biskupa, zmarłego w r. 1622, z wielkim na płótnie malowanym jego portretem, nad którym na czarnej marmurowej tablicy złoconemi, w głąb rżniętymi głoskami stosowny umieszczony jest napis. Grób jego pod tą kaplicą znajdujący się pokrywa wspanialsza od samego nagrobku marmurowa tablica Łukasza z Górki, poprzednio wojewody poznańskiego, a następnie biskupa wrocławskiego, zmarłego w r. 1628. Biskup ten podobnie pod tą kaplicą spoczywa w grobie, oddzielną marmurową tablicą pokryty. Antoniego Sebastjana z Dembowej góry Dembowskiego, tutejszego biskupa, zmarłego w 82 roku życia, sam tylko grób w kaplicy Najświętszego Sakramentu się znajduje, pomnik bowiem mieści się w głównej nawie kościoła. Na grobie powyższym leży wielki płyt z marmuru brunatnego, z wypukło wyrobionym herbem Jelita i napisem wklęsło rżniętym. W posadzce téj kaplicy znajduje się także grobowiec ks. Stanisława Szczawińskiego, kanonika tutejszej katedry, zmarłego w r. 1550. Grobowiec ten nad inne starożytniejszy, jest to poprostu płyt z piaskowego kamienia, z wyrobionym w płaskorzeźbie posągami i napisem dokola z wypukłych liter złożonym.

W kaplicy Najświętszego Sakramentu znajduje się jeszcze obok ołtarza niewielka tablica z marmuru szarego, z napisem: Maciej Wieliczka, zmarły w r. 1585. W kaplicy św. Marcina niema żadnych biskupich nagrobków, są tylko w niej pomniki Feliksa Naropińskiego dziekana wrocławskiego i Katarzyny Krosnowskiej. Pierwszy obok ołtarza pomieszczony jest tylko prosta tablica z herbem Belina i napisem dokola: *Felix Naropiński decanus Vladislaviae 1528*; drugi w rzeźbie bogatszy, wyloceniem brązowem wypukło nabijanych liter ozdobniejszy z r. 1594. Ten ostatni wpuszczony jest w ścianę naprzeciw ołtarza.

Wspaniałą kaplicę Najświętszej Panny fundował przy katedrze wrocławskiej Jan Tarnowski herbu Rola, zmarły w r. 1600. Stawiana jest w stylu włoskim, z kulistym sklepieniem, przyozdobionem rozetami umieszczonemi w czworokątnych, ku środkowi sklepienia coraz zmniejszających się wnękach. W narożnikach tego sklepienia, oprócz herbu fundatorów, są jeszcze herby, Jastrzębiec, Nowina i inne znaki, a w wnękach ścian kaplicy piękne marmurowe posągi. W téj części kościoła biskupi Maciej Pstrokoński, Maciej Łubiński i Stanisław Sarnowski mają pomniki swoje. Pomnik dwóch pierwszych jest niejako wspólny, w kształcie ołtarza z marmuru czarnego, częścią brunatnego, doskonale wykonany, z białemi popiersiami i herbami.

Kaplica św. Kaźmirza podobna jest do powyższej pod względem budowniczego stylu, mniej przecież jest okazała i figury świętych ściany jej zdobiące są z gipsu. Nagrobki ma trzy, to jest Franciszka Łackiego herbu Trzywdar biskupa wrocławskiego, zmarłego w r. 1617, cały z brunatnego marmuru, Baltazara Miaskowskiego herbu Leliwa, zmarłego w r. 1632, w pojedynczych swych częściach z marmuru czarnego, brunatnego, cielistego i białego wykowany i Wojciecha Boryszewskiego, zmarłego w r. 1627. Pierwsze dwa umieszczone są na ścianach bocznych kaplicy, ostatni zaś wpuszczony w posadzkę. Piękne organy i znacznej wielkości dzwon są pamiątką po Hieronimie Rozrażewskim, zmarłym w r. 1600.

Oprócz wielkiego ołtarza jest tu 12 ołtarzy mniejszych. Wielki, cały marmurowy, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zdobią trzy obrazy. Jeden przedstawia zdumionych 12 apostołów, zebranych po Wniebowzięciu Boga-Rodzicy. Drugi wielkich rozmiarów, w marmurowych ramach, wyobraża samo Wniebowzięcie. Trzeci nareszcie Ukoronowanie Matki Bożej. Wszystkie te obrazy malowane na miedzi w Rzymie z polecenia wyżej wspomnianego bi-

skupa Rozrażewskiego, fundatora całego ołtarza. Wprost wielkiego ołtarza na końcu presbiterium wznosi się w środku mniejszy oltarz, niebogaty w ozdoby. Mensę jego stanowi bryła białego marmuru, a na niej wysoki krzyż, z pięknie wyrzeźbionym wizerunkiem Chrystusa Pana. Inne ołtarze są: św. Barbary, Wniebowstąpienia Pańskiego, z celniejszym obrazem toż Wniebowstąpienia przedstawiającym; św. Maryi Magdaleny, z bardzo efektywnym wizerunkiem umierającej i N. Sakrament przyjmującej pokutnicy; św. Piotra i św. Mikołaja, z obrazami tych świętych.

Z przeciwnej strony są ołtarze: Zwiastowania N. Panny, św. Józefa, Niepokalanego poczęcia N. M. Panny, Trzech Króli i Zbawiciela umierającego, z obrazem jednym z najpiękniejszych jakie się w téj świątyni znajdują. Zresztą ołtarze te i stalla niczem się nie odznaczają.

Do osobliwości świątyni należy także kompas znajdujący się na ścianie kaplicy Panny Maryi, z konstellacyami, który ma być zrobiony przez sławnego naszego astronoma Mikołaja Kopernika. Według miejscowego podania znakomity ten mąż wykonał go, będąc tutejszym kanonikiem, co jednakże z krytyką historyczną nie zgadza się, gdyż Kopernik nie był kanonikiem kujawskim, tylko warmińskim. Prawdopodobnie domyśla się uczony Bartoszewicz (*Księga swiata na r. 1857, str. 41*), że to jest hold złożony pamięci wuja jego Łukasza Weisselroda, któremu on tyle był winien, a który rzeczywiście był kanonikiem przy wrocławskiej katedrze. Cóżkolwiekby, nie ulega wątpliwości, że kompas ten jest zabytkiem po Koperniku i znajdujący się pod nim łaciński napis ma być także przez niego ułożony. Brzmi on w następujących słowach:

Hic tibi cum signis spectantur nodus et umbra,
Quae tria quid doceant commemorare libent;
Umbra notat, dextra, quota cursitet hora diei,
Hincque monet, vitam sic properare tuam.
Ast in quo signo magni lux publica mundi
Versetur, mira nodulus arte docet.
Si vis scire dies, quot quilibet occupat horas,
In medios media sede locatos habes.

Na téjże samęj ścianie znajdowały się jeszcze dwa nagrobki, z których jednak tablice napisowe wyjęte, a same tylko marmurowe pozostały ramy.

Kościół katedralny wrocławski, do najznamienitszych w kraju naszym budowli duchownych należący, w dobrym utrzymaniu jest stanie. Archiwum jego bogate z XIII wieku, posiada wiele oryginalnych dokumentów, z których ważniejsze użyte już zostały przy wydaniu dyplomaturyusza Rzyszczewskiego i Muczkwoskiego. Biblioteka także wiele ciekawych liczy osobliwości. Szczególnie godne są widzenia pismo święte i piękny mszał z XIV wieku, na pergaminie pisany.

Skarbiec, jak na katedralną świątynię, jest dosyć szczupły, lubo zawiera w sobie kilka przedmiotów znacznej wewnętrznej wartości. Do takich należą monstrancya szczerozłota, fundacyi podobno biskupa Łubińskiego, odznaczająca się pięknym smakiem, wyrobiona podług takiego planu jak dawniejsze gotyckie monstrancye, ze zmianą tylko łuków, a téj samem i ogólnego kształtu. Kielich fundacyi biskupa Władysława Oporowskiego, zmarłego w r. 1453, srebrny, wylacany, znamionuje się osobliwością kształtu i wytwornością roboty złotniczej. Kwiat jego jest u góry, szeroki, stożkowaty, podstawa w różne wzory ryta, nóżka otoczona pięknym gotyckim filigranem. Napis, świadczący o pochodzeniu tego kielicha, społecznymi głoskami wryty jest na jego podstawie. Bogate srebrne tabernaculum, którem w czasie większych uroczystości ozdabiają wielki oltarz, pod względem sztuki żadnej niema wartości; zato oltarz w kapitułarzu stojący, hebanowy ze srebrnymi ozdobami, zabytek sztuki z drugiej połowy XVI wieku, pięknością form i dokładnością roboty się zaleca.

Od p. Józefa Łepkowskięgo, docenta archeologii przy uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymaliśmy następujące uzupełnienie.

Do artykułu: **Dzieła Stwosza oznaczone monogramami** (patrz 196 nr. *Tygodnika Ilustrowanego*.)

W zacytowanym nrze *Tygodnika*, oraz w piśmie *Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit* (nr 41 z r. 1862), ogłosił pan Aleksander Lesser wiadomość o odkrytym przez siebie monogramie na rzeźbie wystawiającej pocałunek Judasza, a dochowanej w kościele św. Sebalda w Norymberdze. Z powodu tego odkrycia przybyło nowe dzieło do pocztu niewątpliwych

utworów mistrza naszego, którego autorstwo dotąd Niemcy Kraftowi przypisywali. Przecież część napisu zostawił pan Lesser bez odgadnienia, poczytując ją za charakter wschodni lub fantastyczny. Otóż wykład tego napisu (podanego w drzeworycie w przywiezionym nrze *Tygodnika*) uzupełni się, gdy odczytamy pierwsze cztery znaki jako wyraźną datę 1499, znak piąty monogram, a szósty łączone F E, co *fecit* znaczy. Józef Lepkowski.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Poznań, w końcu października 1863 r.

Mówiliśmy już kilkakrotnie o Joachimie Lelewelu, a zawsze nam się jeszcze coś do powiedzenia nadarza; bo trudno rozstać się z mężem, który tak wysokie w literaturze, osobliwie zaś w dziejopisarstwie zajął stanowisko, który stał się niejako ojcem teraźniejszych naszych dziejopisarzy i twórcą nowego zapatrywania się na dzieje nasze, osobliwie pierwiastkowe. Dlatego, rozpoczynając dziś znów o Lelewelu, powiemy najprzód, iż znany z różnych swych publikacji historyczno-politycznych Lew Szawaskiewicz, zażyty przyjaciel zmarłego, ogłosił w roku zeszłym w Brukselli nowy przyczynek do jego życiorysu, pod tytułem: *Notice sur la vie de Joachim Lelewel*. Rodak jednakże mało się nowego dowiódł o Lelewelu z tej broszurki, nietylko bowiem język, w którym napisana została, lecz cały sposób przedstawienia wyraźnie pokazuje, iż autor głównie miał na myśli francuzkich czytelników. Sądźmy więc, iż to nie jest ów zapowiedziany przez Szawaskiewicza obszerniejszy życiorys Lelewela, który miał wyjść u Zygmunta Gerstmana w Brukselli, a o którym mówiliśmy już w poprzedniej korespondencji naszej (ob. *Tygodnik Illustrowany* nr. 444 str. 259.) Tak więc, ile wiemy, nie mamy dotąd żadnej biografii Lelewela, chociaż, prócz Szawaskiewicza, miał nad nią pracować Leonard Chodźko w Paryżu, a wydział historyczny Towarzystwa poznańskiego przyjaciół nauk wybrał jednego z swych członków do zajęcia się tą pracą.

W dziełku wydanym w r. b. nakładem pana Żupańskiego pod tytułem: *Joachima Lelewela pisma rozmaite*, czytamy wyliczone wszystkie pisma tego autora; w dziełku zaś: *Przygody w poszukiwaniu i badaniu rzeczy narodowych polskich*, podał nam Lelewel bliższą wiadomość o swych pracach i niejako sam skreślił literackie swe życie. Prawdziwie podziwiać należy, iż jeden mąż podolał, a jedno życie ludzkie wystarczyło na tyle prac, jakie Lelewel pozostawił w różnych przedmiotach, w językach polskim i francuzkim; głównie jednakże trudnił się ojczyznymi rzeczami. Pan Żupański księgarz tutejszy, jeszcze za życia Lelewela wszedł z nim w stosunki co do wydawnictwa dzieł jego, tak świeżo napisanych, jak i po większej części ogłoszonych już dawniej w różnych latach i miejscach. Nadto po śmierci Lelewela został od spadkobierców jego upoważniony do wydania pism, które się jeszcze w rękopisach po nim znalazły, a które wszystkie powinny się stać dla nas drogą po zmarłym puszczoną i są szanownym zabytkiem we względnie swęj treści. Wszystkie te pisma w języku polskim i traktujące o Polsce, zamierzył p. Żupański wydać pod ogólnym tytułem: *Joachima Lelewela Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane*, i rozłożył to wydawnictwo na dwadzieścia tomów, w tej zaś liczbie mieści dzieła już dawniej przez siebie wydawane.

W tomach przeznaczonych na rozbiory dzieł i rozmaitości, zapewne szanowny wydawca zamieści wiele jeszcze ważnych pism i rozpraw, które Lelewel sam w opisie swoim, jako przez siebie różnemi czasy drukami ogłoszone, wymienił.

Dodwudziesto-tomowego wydawnictwa dzieł Lelewela nie wnijdą jeszcze obszerne i ciekawe w wielu względów jego korespondencye. Stanowią one mają osobny tom jeden, a może i więcej, w miarę jak posiadający listy jego zechcą takowe panu Żupańskiemu na ten cel powierzyć. Dlatego też wydawca wszystkich co takowe posiadają prosi o udzielenie mu ich w oryginale lub w wiernym odpisie. Obok więc tak znakomitego autora jakim był Lelewel, trzeba nam było także takiego wydawcy jakim jest p. Żupański, abyśmy mogli oglądać kompletne wydanie dzieł znakomitego historyka. Jest to bowiem przedsięwzięcie niemałe, potrzebujące wielkiego nakładu, który niezraz może zwróconym będzie, osobliwie w obecnych, tak niekorzystnych dla wydawnictwa czasach.

Wydany co dopiero tom trzynasty Lelewela, zawierający *Historiã polskã z końca panowania Stefana Batorego*, składa się z 680 stronic, a w przedmowie czytamy, iż historia ta jeszcze w r. 1813 w przeciągu niespełna trzech miesięcy napisana została i posłużyć miała jako przygotowanie do kursu, który autor wykladać zamierzał w uniwersytecie. Część tego rękopisu rozszerzył i wydał już Lelewel r. 1821 pod tytułem: „*Ostatnie lata panowania Zygmunta Starego i początek panowania Zygmunta Augusta*,” i miał na myśli resztę podobnie rozszerzyć, a co brakowało dopełnić; ale do tego nie przyszło. Reszta pozostała tak jak była napisana i niema śladu żeby ją autor obrabiał, oprócz niektórych dodatków na marginesie, z których jedne weszły do tekstu, drugie, niepodobne do wyczytania, z żalem opuszczone zostały, tudzież wielu bardzo miejsc podkreślonych, które autor zapewne miał kiedyś w stylu poprawić, co wydawca E. Rykaczewski, nie naruszając jego myśli, nietylko w tych podkreślonych miejscach, ale w całym dziele dopełnił. W dodanych przypiskach miał na celu Rykaczewski albo wskazać źródła z których autor czerpał, albo z nich sprostować niekiedy jego opowiadanie, albo rozwinąć i uzupełnić, co autor dla szczupłych obrębów jakie sobie zakreślił, nie mogąc wdawać się w szczegóły, zbyt krótko opisał.

Jeżeli kto, to z pewnością Lelewel byłby nam mógł najdokładniej skreślić dzieje narodu polskiego, w całej ich rozciągłości, kiedy już w pojedynczych swych pracach dowiódł tyle znajomości rzeczy i dzieje te rozczłonkował na najdrobniejsze szczegóły, słowem dokonał tego, czego ani Naruszewicz, ani Moraczewski dokonać nie zdołali. Wszędzie w tym dziele znajdujemy gruntowną znajomość rzeczy, staranne opracowanie i sąd wytrawny, tak iż dziwić nam się rzeczywiście należy, iż Lelewel w przeciągu niespełna trzech miesięcy opracować je zdołał. Wziął zaś sobie za zasadę, rozważając sprawy i rzeczy Polski, rozpoznać różnicę ich od spraw innych ludów, aby wydobyć własny narodowy żywioł i odróżnić go od cudzoziemskiego.

Niema wątpliwości, iż tę historię Lelewela pod pewnym względem zarysem tylko nazwać można; bo choć stanowi zupełną całość, jednakże niekiedy jest zanadto treściwą, a przez to może niejasną. Im dalej jednak postępuje, tym staje się obszerniejszą. Oszczędny bardzo w szczegółowym opowiadaniu wypadków, zato obfitym jest w obrazy, i tu dopiero poznajemy prawdziwego i gruntowego historyka. Z obecnej pracy Lelewela trudno się uczyć historii polskiej; czytelnik owszem musi ją znać dokładnie, a wtenczas dopiero nastarczy mu się źródło do myślenia i rozważania.

Co do innych wydań p. Żupańskiego, wspomnieć musimy z roku zeszłego: *Dzieła Maurycego Mochnackiego* w pięciu tomach. Oprócz znanych już w druku tego autora pism historyczno-politycznych i o literaturze polskiej w XIX wieku, w tomie pierwszym znajdujemy ciekawy a dotąd nieznany jeszcze zbiór listów tegoż Mochnackiego, brata jego Kamilla i przyjaciela ich Michała Podczaszyńskiego zagranicą w latach od 1832 do 1854 roku pisane do rodziców i rodzeństwa, a wydobyte z rąk żyjącej jeszcze ich matki. Ważne i ciekawe te listy tyczą się prawie wyłącznie tylko osobistych i rodzinnych ich stosunków, lecz i te nie są bez zajęcia. Opowiadania ogólnej treści, krótkie lecz malownicze, staną się kiedyś źródłem dla historyka, gdyż zawierają różne choć porzucane wzmianki o wypadkach i osobistościach z czasów działania Maurycego.

Teologia dla użytku wiernych, pragnących gruntowniejszej nauki w rzeczach zbawienia, napisana przez N. J. B. Delerta, penitencyarza i kaznodzieję archidiecezji poznańskiej. Tom 1szy teologia dogmatyczna, tom 2gi teologia moralna i liturgika.

Legends historyczne przez Bronisławę Kamienskã, wydanie drugie przejrane. Pierwsze wydanie wyszło w Warsz. 1851 r. Znajdujemy tam powiastki historyczne: *Piast*, św. Krzysztof, *Pięciu Męczenników*, *Piotr Dunin*, św. *Jadwiga* i *Klasztor trzebnicki*, *Pierścień Kunegundy*, *Napady Tatarów*, *Jan z Kent*, *Książ Ostrowski*, *Matka Boska częstochowska* i *Krucyfiks w trybunale lubelskim*. Dzieciom, chcącym w czytaniu szukać rozrywki, można to dziełko jaknajusilniej polecić. Znajdą tu, oprócz rozrywki, wspomnienia z dziejów ojczyznnych, wszędzie zaś opowiadania proste, miłe i do ich wieku stosowne.

Któż nie zna *Teofila Lenartowicza*, autora tytuł narodowych i ludowych pieśni? Pan Żupański wydał w roku bieżącym poezję jego tom pierwszy i drugi.

Wspomnieć także musimy piękną powieść, albo raczej obrazek społeczny zdjęty z natury, lekkim na, pisany piórem, pod tytułem: *Dziecię Starego miasta* - który podobniez tylko co opuścił prasę nakładem p. Żupańskiego.

Józef Łukaszewicz wydał w latach 1838 i 1839 *Krótki opis historyczny kościołów parochialnych, kościołków, kaplic, klasztorów, szkółek parochialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawniej dycyezyi poznańskiej*, tomów 2. A ze dawniej archidiecezji warszawskiej należał także do dycyezyi poznańskiej, przeto p. Łukaszewicz nakładem księgarni Żupańskiego wydał tom trzeci swego dzieła, zawierający tenże archidiecezji warszawskiej.

Dalej z wydań p. Żupańskiego jeszcze w roku zeszłym wspomniemy: *Starożytnie przysłowia dla ochronek*. Jest to spis przysłów naszych, w małej broszurce, 84 stronic zawierającej. Przysłowia te podzielone są: na obyczajowe, gospodarskie na wszystkie miesiące i dnie prawie i na tak zwany porządek miesięcy z ust ludu wzięty.

Przychodzi nam wreszcie wspomnieć o dość kosztownym przedsięwzięciu, które p. Żupański rozpoczął, to jest o wydaniu niektórych z najcenniejszych poematów naszych, z ilustracjami treści rzeczy objaśniającymi. Do tego wybrał *Maryã Malezkiego*, *Wal-lenroda*, *Grażynę* i *paniã Twardowskã Mickiewicza*, *Pieśń o ziemi naszej*, *Zachwycenie* i *Błogosławionã Lenartowicza*. Wydanie to w większej czwórce, w znacznej części już wyszło, reszta wkrótce wyjdzie. Rysunki są pomysłu Antoniego Zaleskiego, a ryty na miedzi przez *Lukomskiego*; tylko do *Pieśni o ziemi naszej* dorobił przewyborne ilustracje p. *Kosak* w Warszawie. Poematy te zawierają 50 ryciu, kosztujące razem około 37,500 złp. Jest to prawdziwa ozdoba literatury, a arcydzieła poetów naszych nie mogły dla siebie znaleźć odpowiedniejszego wydania. Życzyćby więc należało, aby przez to znalazł zachętę do dalszych podobnych przedsięwzięć.

Nakoniec nakładem p. Żupańskiego jest w druku trzeci tom *Pamiętników z 18go wieku*. Będzie on zawierał pamiętniki generała *Sułkowskiego*, poległego w *Kairze*. Pamiętniki te już dawniej ogłoszone były w języku francuzkim, dziś są bardzo rzadkie i trudne do nabycia; dalej *Pamiętniki generała Dąbrowskiego*, tłumaczone z francuzkiego, dotąd wcale nie ogłoszone.

Czy co wyszło w r. b. u p. *Kamienskigo*, nie doszło do naszej wiadomości. Drukuje on drugi *Rocznik Towarzystwa poznańskiego przyjaciół nauk i Przegląd poznański*, lecz z obydwojma pismami miał wielkie nieszczęście. *Rocznik*, doprowadzony do czterdziestu kilku arkuszy druku, już może od roku gotowy jest do wyjścia. Gdy jednakże jeszcze artykuł o drogach ducha w tym *Roczniku* ma być zamieszczony, a autor artykułu, zastrzegłszy sobie wyraźnie prowadzenie korekty, po wydrukowaniu jednego arkusza wyjechał na całą wiosnę i lato w daleką podróż, przeto druk za nim wysłany albo go nie doszedł, albo też autor nie miał czasu do korekty. Tak pozostało dotąd. *Rocznik* nie wychodzi, a w drukarni p. *Kamienskigo* około trzech arkuszy artykułu o drogach ducha od kilku miesięcy spoczywa złożonych. Tak samo nieledwie było przez czas długi z *Przełudem poznańskim*, który bardzo nieregularnie bywa wydawany. W ten sposób czcionki drukarni p. *Kamienskigo* były zajęte i nie pozwalały mu pomyśleć innych dzieł wydawnictwa.

Dawniej czasami także w drukarni p. *Ludwika Merzbacha* jakie mniejsze pisemko polskie się pojawiało; jego zaś zakład trzyma u nas drugie miejsce, po najznaczniejszej drukarni *Deckera* i spółki. W obecnych jednakże wcale niekorzystnych dla piśmiennictwa czasach, *Merzbach* nie wydaje, albo raczej całe swe wydawnictwo ograniczył na *Dzienniku Poznańskim*, codziennie wychodzącym jego nakładem i czcionkami. Słyszeliśmy iż około *Wielkiejnocy* r. b. odbijano blisko 2200 numerów tego dziennika; teraz podobno wydają około 1900. Zważając na różne okoliczności i przeszkody, uznać musimy iż i ta ostatnia liczba jest bardzo wielką, jakiej dotąd żadne pisemko czasowe w Poznaniu nie miało. Według rozporządzenia prasowego w Prusach z dnia 4 czerwca roku bież. otrzymał *Dziennik* niedawno drugie urzędowe ostrzeżenie. Wisi więc nad tem pismem miecz *Damoklesa*, widzieliśmy bowiem niedawno, iż *Nadwiślanin* wydawany w *Chełmnie*, po odebraniu czterech ostrzeżeń, musiał zaprzestać wychodzić.

ILLUSTROWANE PRZYSŁOWIA.

Kocioł garnkowi przygania, a obydwaj smolą.

Każdy grzeczki swe osla-
nia,
A drugi mu w oku solą.
Kocioł garnkowi przyga-
nia,
A obydwaj smolą.

Panek, siedząc przy Żak-
sonie,
Dym cygara puszcza won-
ny
I w poważnych myślach
tonie,
Do głębokich studyów
skłonny;
Lecz pienisty nektar bo-
ski
Nie wybije z głowy tro-
ski.
Codzieli nowy kłopot,
[trud,
Najszcześniejszy wiejski
[lud!

Chłop w karczemce u
szynkarza
Topi smętną myśl w kwa-
[terce;
To się zdrzemie, to roz-
[waża
W jakiej on to ponie-
[wierce.
I w kieliszku nawet
[wódki

Nie chcą jakoś tonąć smutki.
Oj, nieszczęsny chłopski stan,
Nie masz w świecie jako pan!

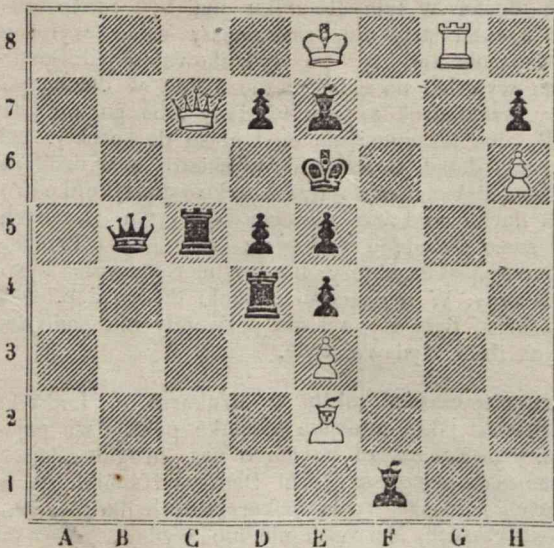
Ba, co chłopu? co mu trzeba,
Gdy ma parę kop w stodole,

SZACHY.

ZADANIE CLXXX.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 179.

Białe.

Czarne.

- 1) E 5—C 4. 1) E 4—F 5. (*)
- 2) C 4—D 6 † 2) F 5—E 5 n [lepij.
- 3) E 2—D 3. 3) E 5—D 5.
- 4) D 6—C 4 4) D 5—C 6.
- 5) D 3—E 4 † i mat.

(*) Widoczną jest rzeczą, że gdyby król w 1ém posunięciu zamiast na F 5, poszedł na D 5, dostałby mata w 3ém posunięciu: E 2—D 3, D 3—E 4.



Razowego kawał chleba
I zasiane zbożem pole?
U mnie długi i kredyta,
Hipoteki et caetera.
Chłop ma wódkę—to i kwita.
Garçon! flaszkę Roederera!

Co tam panu? jako w niebie
Siedzi w cieple, na kanapie,
Każdy prosi go do siebie,
Jak chce pije, jak chce chrapie.
A ty chłopie wciąż rób ino,
W domu bięda, zwady, sprzeczki,
A pan sobie spija wino.
Hej! karczmarzu, gorzaleczki!

Szkótek! wrzaśli gazeciarze.
Dobrze, chcecie, macie szkółki.
Stawiam—chłopów uczyć każę,
Lecz strach zajrzeć do szkatulki.
Może to się na coś przyda,
Jak wyuczę chłopskie syny,
Ale teraz, bięda! bięda!
Garçon! ostryg trzy tuziny!

Wciąż turbaeye i kłopoty,
W każdym kroku utrapienie;
Dzieci niema do roboty,
Bo do szkoły je pan zenie.
Gdybyć zato zapłacili,
Radbym je do szkoły dawał.
Hej! karczmarzu, moi mili!
Dajcie no tu sperki kawall

Tak żyć dłużej, ani rady;
Właściciele zguby blizcy.
Gdy do żniwa chcesz gromady,
Niema -- na odpuszcie wszyscy.
Oj jarmarkil! oj odpusty!
Te nam ciągle tną kuranta.

Bięda! bięda! worek pu-
sty!
Garçon! podaj mi ba-
[żant!

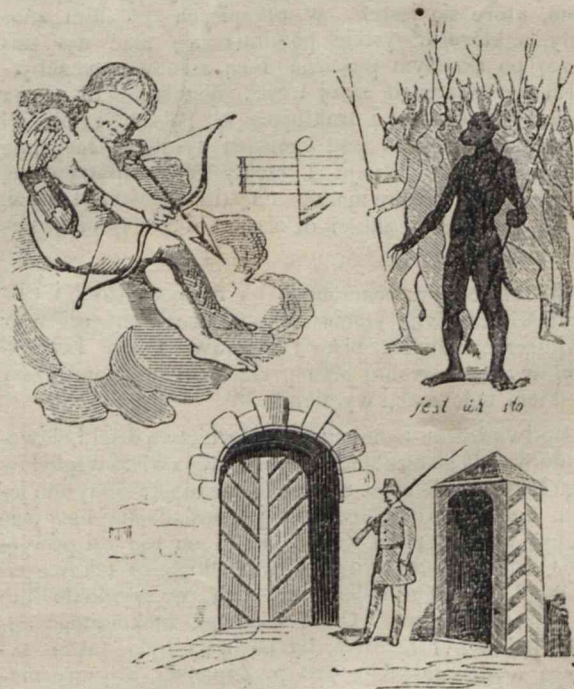
Oj, toć zamrzeć w takiej
[biędzie!
Czek się troszczy, robi,
[lata,
A pan, kiedy wiosna
[przyjdzie,
Jedzie sobie na kraj swia-
[ta.
Czy wędrówek im to
[trzeba,
Puszcząc pieniądz rok ca-
[lutki,
Gdy nam w domu brak
[i chleba?
Hej! karczmarzu, jeszcze
[wódki!

Nie—w tém sobie rady
[nie dam,
Choćbym myślał przez
[lat dwieście.
Tak najlepiej: wioskę
[sprzedam,
Kamienicę kupię w mie-
[ście.
Brony, plugi w świat
[przepłoszę,
A mnie na co ten fra-
[sunek?
Garçon! sérów daj po-
[trosze
I wpisz wszystko na ra-
[chunek

Pan pieniędzy ma jak lodu,
Bo za zboże co rok zbięra;
A ja?... cóż ja?... mrę od głodu,
I jeszcze mię karczmarz zdięra...
Otóż rzucę gospodarkę,
Co mam się uganiać z biędą?
Hej! karczmarzu, jeszcze miarkę!
I spisz wszystko na drzwiach krędą.

Każdy grzeczki swój osłania,
A drugi mu w oku solą.
Kocioł garnkowi przygania,
A obydwaj smolą.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 216.

Wierszydła mizerne, to mordercza plaga na re-
daktorów.

(Dodatek.)

PIÉRSZE ZŁUDZENIE.

Pierwsze złudzenie, to jakby pierwsze ukąszenie jednego z tych jabłek kwaśnych, które rosną na Adamowym drzewie poznania, a których człowiekowi życie nie skąpi. Każdy śmiertelnik przeżyć musi to najsmutniejsze pierwsze złudzenie, które dla jego młodych nadziei tén jest w świecie moralnym, czém w świecie fizycznym pierwszy objaw śmierci. Pierwsze złudzenie i pierwszy trup uczą człowieka, że wszystko na tym świecie jest znikome. Jednego przedź, drugiego później zdybie to złudzenie, a pojawia się najrozmaitszymi sposobami i w najrozlicznějších postaciach.

I tak naprzykład, mnie to pierwsze złudzenie zdybało w budce podróżnej, a wylazło za pomocą pieszka małego z małej szkatułki papierowej. Jak się to stało, chcę właśnie opowiedzieć.

Byłem w domu ojca mojej matki na Wołyniu. Dziadek mój, strasznie ocytany, należał potrosze do szkoły perypatetyków; z miny poważny i obojętny, pojawiał się nam wnukom swoim o pewnych godzinach, powiódł po nas chłodnym i siwém jak niebo jesienne okiem, wystawiał ręce do pocałowania, powiedział kilka mroźnych uwag i nauk, tak zwanych sensów moralnych, i... zniknął w niedostępnej nikomu otchłani swojego pokoju. Takim mnie się głównie wydawał. Wychowany w innej, dalekiej części kraju, po raz pierwszy od dzieciństwa odwiedzałem go, a miałem, nie przymawiając, lat 16. Powiadam nie przymawiając, bo mimo i lat zielonych i niejednej zielonki w głowie, uważałem się za wielce wyrobionego młodzieńca, mającego już prawo przykładać usta do wszelkiej czary wystawionej na bankiecie zycia.

Wracając do dziadka, dodac muszę, że ubierał się po polsku, i co więcej, był to jego prawdziwy, jemu stosowny strój.... Jakbym go widział przed sobą; co dzień, czy w święto, czy w dzień powszedni, gdy wychodził na pokoje gościnne, ubrany był w kontusz, żupan i pas po wierzchu, a przy pasie karabela, a na kontuszu gwiazda Stanisławowska, do tego włosy i wąsy popodcinane, twarz biała i szérocka, stapanie nóg, ubranych to w zólte, to w czerwone buty, powolne i uroczyście. Nigdy go inaczej nie widzieliśmy, to tén nam młodym wartogłowom zdawało się naprawdę, że on już tak w kontuszu, żupanie, pasie i t. d. wyszedł z rąk swego Stworzyciela. To mi przypomina że był bardzo pobożny i co dzień o ósmej z rana słuchał mszy świętej w osobnej kaplicy, poczm o dziewiątej następowało śniadanie, także ściśle polskie.

Lecz dosyć o starym dziadku, którego wnuk dziś sam stary, w gadulstwo wpadać się przyzwyczajają. W domu dziadka mego była właśnie jedna z córek jego, ciotka moja. A ta ciotka miała z sobą trzy swoje córeczki, moje siostry cioteczne, koleżanki moje w wnukostwie i w podziwianiu wspólnego dziadka naszego. Najmłodsza Teodozja była śliczną, ale dzieckiem jeszcze; średnia Walentyna dziewczynką wcale nieładną i chorowitą do tego; najstarsza zato Stefania miała lat szesnaście, czyli raczej, jak matka twierdziła, na szesnasty. Prócz lat młodocianych, miała wdzięki wiosniane, zawsze piękne, promieniejące młodą myślą i niezepsutém uczuciem. Dziś gdy zastanowię się nad tén i wywołam przed sąd doświadczony jój całą postać drobniutką, nie umiem powiedzieć co właściwie w niej pięknego mogłem dopatrzeć. To wszakże pewna, że wydała mi się piękną, bardzo piękną. Prawda że młodem patrzyłem na nią oczyma, a te częstokroć dojrzą tego, czego nikt inny nie zobaczy; nieba nawet dosięgną, gdzie nieba nie było, i patrzeć będą na tańczące w niém cudnych kształtów aniolki. Niechże to wszystko zobaczy kto staremi oczyma!... Między niemi a niebem wieczna chmura, a miasto aniolków, krzywią mu się kulejące jakieś postacie.

Że zaś, jak mówiłem, miałem się za skończonego młodzieńca, więc zdało mi się być rzeczą stosowną zakochać się. Postanowiłem się zakochać i zakochałem się naprawdę. Czego człowiek młody nie potrafi? Zacząłem więc, odwiecznym ludzi zakochanych zwyczajem, przewracać oczami, rzucać je ruchem rozpaczliwym ku niebu, a w powietrze puszczać potężne westchnienia, zdolne zaprawdę poruszyć wiatrakowe skrzydła. Albo znowu puszczałem się na samotne przechadzki po ulicach ogrodowych, uderzając czołem rozmarzonym o poczciwe lipy, Bogu ducha winne, które mi zupełnie na drodze nie stały, i wróciwszy z guzem na czole, zasiadałem do stołu, aby się karmić widokiem lubej, dławicie współwziewanemi westchnieniami, a jeść broń Boże, to nie jest w dobrym tonie zakochanego. Nareszcie, porwawszy nóż w rękę... (nie straszcie się państwo, wszakże żyję — stem kiedy piszę i ani myślałem się zabijać)... a więc

z nożem w rękę biegałem w gajowe ustronie i kalczyłem niewinne brzozy, wydrapując najniezgrabniejsze kulasy, mające przedstawiać litery, i też same litery kręśliłem po wszystkich ławkach ogrodowych, po piaskiem przesypanych ścieżkach. Na dokończenie łamałem sobie głowę zawzięcie, by z niej wydobyć kilka rymów czułych, oczywiście do cierpliwego księżyca, który posrebrzał jój lica, chwalił jój czarne oczy i t. d. Fajarki mi tylko brakowało, a byłbym kapitalnego mógł przedstawić pasterza.

Ale jakże było ze wzajemnością? Tu muszę, skromność schowawszy na chwilę do kieszeni, do czego jako pisarz jestem przyzwyczajony, przyznać się państwu że byłem przystojny, przynajmniej miałem się, a nawet przez innych miany byłem za takiego. Więc już posiadałem jedną szansę za sobą. Powtóre stanowią w domu dziadka niepospolitą figurę, i to tak dalece, że choć często przyjeżdżali z sąsiedztwa młodzi ludzie i przystojni, i dobrze wychowani, i majetni, i przywoici, ja przecież między nimi zajmowałem niezłe miejsce. Nie był to wcale dowód mej prawdziwej wartości; ale moje stanowisko było szczęśliwe. Przybywałem prosto z większej stolicy, gwarząc zatem o niej, o teatrach, koncertach, balach, a puszczałem w środek rozmowy, jak bomby, głośne nazwiska pierwszych domów stołecznych, zaciemniałem oczywiście parafianów, którzy prócz Żytomierza i Berdyczowa, ledwie o Krzemieńcu mówić mogli. Do tego tyralierowałem z boku francuzką mową, deklamując tu i owdzie polapane wiersze różnojęzykowe. Nakoniec wieść, która, przeciw prawidłom akustycznym, im idzie dalej, tén się staje ogromniejszą i głośniejszą, wieść tedy powszechna rozpowiadała cuda o wielkim majątku mego stryja, którego ja miałem być jedynym dziedzicem. Takie więc były zalety, mocno za mną przemawiające.

Więc tedy miałem wzajemność!... Długo wahałem się sam sobie odpowiedzieć; lecz prawidłem sobie, że prawdziwa miłość musi rozbudzić wzajemność koniecznie, bo miłość zarazliwa jest jak ziewanie. I pomału zacząłem uważać rozmaite symptomata, jakie się ukazywały u pięknej Stefanii. I serce moje biło coraz radośniej. Jakże bić nie miało? proszę posłuchać.

Już to uważałem że często patrzy na mnie, ach!... temi czarnemi oczyma, i zawsze ze mną bawić się lubi. Razu jednego mianowicie, graliśmy w tak zwaną pytkę. Dla tych osób co nie znają tój wielce dozwolonej gry, powiem że się staje w kółko i wszyscy trzymają się za ręce. Jedna zaś osoba, ukręciwszy pytkę z chustki od nosa, chodzi w kółko stojących, i pomału a pocichu rzuca pytkę przy osobie którą sobie wybierze. Jeżeli raz jeszcze obejdzie całe kółko, a wybrany nie dostrzeże, więc ma prawo nieuważnego pędzić w kółko, popędzając pytkę. Sprytna gra, nieprawdaz? Piękna Stefania lubiła tę grę bardzo. Owóż uważałem że zawsze pytkę podrzucała kółko mnie, i jeżeli jój nie spostrzegłem, waliła mnie potężnie... z całego serca! Pytkę zaś uniała kręcić doskonale, prawdziwie con amore. I wyznam szczerze iż często umyślnie nie podnosiłem pytki, aby być bitym rączką pięknej Stefanii. Tego wieczora szedłem do łóżka z sercem wielce ucieszonym i grzbietem należycie obitym.

Nie byłże to znak bardzo dobry!?

Lecz idźmy dalej w diagnozie miłosnej... Ile razy kichnąłem, życzyła mi zdrowia głosem widocznie rozczulonym. Jakże sobie kichania życzyłem! Całą jedną noc bez ubrania prawie przepędziłem na zimnej roście. Toż to była nazajutrz rozkosz!... Kichałem cały dzień. A ona co chwila:

— Na zdrowie, głosem anielskim mówiła.

Innym znowu razem, było to po codzienném nabożeństwie, gdyśmy zeszli się na śniadanie, pamiętam dobrze, były zrazy z kaszą. Stałem koło niej jak zwykle. Ona mi szepnęła:

— Podaj mi zrazę... Pobiegłem, podałem; ona się ze mną podzieliła. Nagle dziada głoszał się do nas:

— Co tam szepcacie?... to nieprzywoicie!

Ona się tak ślicznie zarumieniała, i ja się zarumieniłem. O jakże byłem szczęśliwy!... Pół zrazę miałem w żołądku, a niebo w piersiach. Albo znowu szliśmy raz ulicą lipową wieczorem tam i nazad i przeszliśmy razy kilka. Ja nie mówię, bo nie wiedziałem co powiedzieć, i ona nic nie rzekła; więc milczeliśmy oboje. Ale zato patrzyliśmy się w górę ku srebrzystemu księżycowi. I ona pierwsza zagadała harmonijnie szepczącym głosem:

— Może siądziemy?

— Siadajmy, odpowiedziałem głosem czułością przyduszoną.

Usiedliśmy na ławeczce i milczeliśmy znowu. Lecz to milczenie było wymowne, a chwila nader uroczyista. Westchnąłem raz, drugi, trzeci i dziesiąty. Wzdychałem tén chętniej, że wzdychać musiałem, aby nie

ziewnąć przypadkiem. I widziałem wyraźnie, jak ona do rumianych ust swoich przykładała chusteczkę; snać przez skromność nie chciała bym poznać że i ona wzdycha.

— Czego wzdychasz? ośmieliłem się nareszcie zapytać.

— Ja?... odrzekła z pewném zdziwieniem, oczywiście udaném. Uśmiechnęła się słodko i wzięła mnie za rękę.

— Chodźmy spać... wyrzekła, ale tak czule!...

Byłem już pewny że mnie kocha, i wleciawszy do swego pokoju jak szalony, skakałem po łóżku, krzycząc i śpiewając na wszystkie tony:

— Ona mnie kocha!...

Mieliśmy jechać razem. Miałem ciotkę odprowadzić, a potem wrócić do stolicy, do stryja i do nauk. W przeddzień naszego wyjazdu, chodziliśmy znowu i przyszliśmy do cieplarni, przed którą stał aloes. Nie wiem czy wiecie, że cyfry wyrte na liściach aloesowych nigdy nie giną; przeciwnie grubieją i zwiększają się, z grubiejącym i zwiększającym się liściem. Mówiłem jój to i w końcu dodałem:

— Zapiszmy na tym aloesie nazwiska nasze, na pamiątkę tych dni błogich, które przepędziliśmy tutaj.

— Dobrze! odpowiedziała, i zdało mi się że krasny rumieniec oblał jój lica, a oczy zaiskrzyły się.

I wyjęła szpilkę, i napisaliśmy oboje datę tego dnia pamiętnego i cyfry nasze połączone wieńcem. A potem prosiłem o tę szpilkę na pamiątkę. Ach, bo ta szpilka spoczywała przy jój piersiach!

— Powiadają że dar szpilki jest niebezpieczny, rzekła ona. Mogłabym cię wykluć, dodała uśmiechając się, jak się niebo przy wschodzie słońca uśmiecha.

— Na to sposób najlepszy ukłuć szpilką w palec, odpowiedziałem, odśmięchnąwszy się z całą czułością szesnastoletnią.

Nadstawiłem palec serdeczny. Ona ukłula, ukłula serdecznie, aż syknąłem z bólu. I spojrzałem na nią wzrokiem dziękczynnym, a oczy jój dziwnym lyskały promieniem.

— Jakże mocno mnie kocha! mówiłem sam do siebie.

I pytam się wszystkich kochających, i tych co kochali, i tych co kochać mają, i tych co kochać będą, czyż mogłem nie mieć tój pewności?...

Wyjechaliśmy nazajutrz. Podróż trwać miała dni trzy lub cztery. Na przodzie toczyła się staroświecka karéta poczworna, do małego domku podobna, a tak wysoka, że stopnie spuszczone, podobne były do drabinki bibliotecznej, po której się łązi na półki za książkami. W tój karécie jechała ciotka z trzema córkami. Na kozle siedział stary furman, a za karétą na wysokim tłumoku drzemał starszy jeszcze lokaj; obok niego zaś siedziała młoda dziewczynka, w malowniczym prostém wołyńskiej wieśniaczki odzieniu. Była to garderobianka jadących pań, pod bezpośrednią opieką pięknej Stefanii. Za karétą wlekąca się powoli, mimo czyli właściwie dla czterech koni sędziwych i opasłych, ciągnęła się bryczka kryta, w drugie cztery konie zaprzężona. Powoził nią parobek dworski, obok niego kucharz Bazyli kiwał się na wszystkie boki, nietyle drzemiący ile spity, co mu się przynajmniej przez godzin ośmnaście na dwadzieścia cztery trafiało. W bryce siedziałem ja sam jeden. Nie drzemałem, ale marzyłem o tych wszystkich cudownych niebieskich migdałach, któremi zasiana jest myśl zakochanego. Śliczne marzenia!.. kto by je mógł spamiętać i zebrać w jedną księgę, napisałby dzieło najszacowniejsze, pełne fantastyczności prawdziwej, która tak prędko znika, iż ją schwycić niepodobna; dzieło pożądane nawet dla starszych, gdyżby ich zapewne zdołało wylęczyć z najupartszej bezsenności.

Z marzeń moich, którym pomagał dzień parny, letni, przenikający umysł pewném mrocznym omdleniem, zbudziło mię poszczekiwanie wielce żalose. Była to suczka, zabawka pięknej Stefanii, która odbywała podróz w mojej bryczce. Suczka zwała się Mopra, dlaczego? już nie pamiętam. Szczerze powiedziałem, była to suczka brzydka, zwyczajnie jak z rasy mopsów, krzykliwa, obżarta i w skutek tego zapewne niebardzo w czystości rozmilowana. Towarzyszka do podróży niekoniecznie przyjemna. Ale słusznie powiada francuzkie przysłowie: „kto lubi pana, lubi i psa jego.“ A więc choć mi się srodze naprzykrzała, warczała nieznośnie, czwórtema jak szpilki zębami chwytala mnie za nogi, z niemalym szwankiem niższego odzienia, a nawet tydek, mimo to wszystko suczka pięknej Stefanii była mi drogą. Zdawała mi się nawet mieć mopsie wdzięki, których pierwej nie widziałem, i nie mogłem wytrzymać by jój nie pocałować, przypomniawszy sobie że i usta Stefanii spoczywały nieraz na jój nosku zadartym, za co Mopra przez wdzięczność obdarzyła mój niewinny nos dwoma zadrapanemi rysami.

Lecz jakoś drugiego dnia podróży suczka znacznie była spokojniejsza. Zamiast nóg moich, znalazła inny przedmiot zabawy. Zbudzony jej piszczeniem, spojrziałem ku niej, i wówczas dopiero spostrzegłem jakąś szkatuleczkę papierową, dosyć już przeszarzaną, jednak zamkniętą na klódeczkę. Nie wiedziałem nawet że mi ją wpakowano pod nogi i uśmiechnąłem się ku niej, przeczuwając instynktem serca kochającego, przenikliwszym zaprawdę od węchu wyzła trufli szukającego, że to szkatulka mój lubiej. I Moprze podobala się ta szkatulka; to też bawiła się nią z zapalem, drapiąc łapkami z ciałej siły. Snać jej pazurek się zaczepił, i dlatego tak boleśnie pisnęła. Już chciałem iść jej w pomoc, gdy nagle silnym natężeniem suczka się wy-rwała, a szkatuleczka mocnym rzutem obrócona, otworzyła się zniemacka. I zaczęły się sypać z niej najrozmaitsze przedmioty: i słoik pomady, i mydełko, i grzebień, i szczotka, i pęk włosów wyczesanych, i papier ze szpilkami, i naparstek, i nożyczki, i nici, i tasiemki różnobarwne, powikłane najfantastyczniej. Na samym końcu wyleciał jakiś dość spory zwitek papieru, który tańcząc na trzęsącej się bryczce, zaczął rozwijać przedemną swe kartki, zapisane znanym mi już pismem pięknej Stefani. Schylam się, aby coperdziej pozbiierać te wszystkie przedmioty, które, jak przewidywałem, musiały być własnością ubóstwianej kuzynki, i wyratować je od napaści Mopry, która zaczęła na nich próbować ostrych zębów swoich. Schylam się tedy bez wszelkiej ciekawości, ale ze czcią oczywiście, jaką się ma dla najdroższych rzeczy należących do kochanki. Nagle gdy się jedna z kart rękopisu szerzej rozsunęła, postrzegłem najwyraźniej wypisane swoje imię i nazwisko. Pytam się teraz, nie tylko każdej z płci pięknej, ale każdego z płci brzydkiej, czyby wytrzymał w takim razie? czyby ciekawość w takim przypadku nieprzewyższyła największej dyskrety? Nie wiem co kto odpowie na to zapytanie, ale to wiem, że ja przynajmniej nie miałem tej męskiej wstrze-mięźliwości. Porwałem tedy za zwitek papieru. Był to kajecek zeszyty czerwonym jedwabiem, a na wierzchu wyczytałem po francuzku: „Mój żurnal, dla kuzynki Antosii.“

Szanowne córki dzisiejszego wieku ruszą na to ramionami zapewne, nie rozumiejąc z kąd panna szesnastoletnia mogła przyjść do pisania swego dziennika. Dzisiejsza panna pisałaby raczej rejestra na modne fraszki, lecz w czasie, o którym piszę, na początku drugiego dziesięciolecia wieku naszego, pisanie dzienników było u nas powszechną chorobą panienek szlacheckich. Czy co było pisać, czy nie było, choć nie miała żadnej jeszcze myśli, a tym mniej uczucia jakiego, gryzmoliła każda stylem sentymentalnym i wy-górowanym najposledniejsze dnia zdarzenia, szpikowane sentencyami czerpanymi z romansów ukradkiem przeczytanych. Czytając takie dzienniki, za boki się trzeba było brnąć; ale taka była wówczas moda, pożyczona oczywiście, jak wszystko inne, z francuzkich edukacyjnych przepisów pani Genlis i tym podobnych mistrzyń przyzwoitości i sentymentu.

Lecz dosyć tych uwag; wracam do zdarzenia. Przerzucam kartki, aby znaleźć swoje nazwisko i znajduję nareszcie kilkakrotne wspomnienie o swojej osobie. Przeczytałem i oczom nie wierzyłem. Bo niema niewierniejszego Tomasza nad miłość własną, a moja była do tego podszyta ślepym zakochaniem się.

Tak tedy było napisane:

„Dziś przyjechał nasz kuzynek N. N. Niby to przystojny, ale ma w twarzy coś mdłego, wyraz ni-jaki.“

Nic to, to pierwsze wrażenie. Czytam w innym miejscu.

„Jakż on nieznośny! ach! jakż nudny! Drażni moje nerwy.“

Nic to, bo zawsze już jej nerwy drażnić zaczyna-m. A więc dalej szukam z gorączkowym pośpiechem.

„A nie uwierzysz jaki zarozumiały!... I choć to słowo niekoniecznie przyzwoite, jaki on głupi! Ma się za młodzieńca już, a jest po prostu studenta niezgrabny, dzieciuch, bawiący się w sentymentalność; jednem słowem smar...! Codziennie staje mi się nieznośniejszym; nudzi mnie pretensjami swemi, bo wy-wyobraż sobie Antosiu, podobało mu się zakochać we mnie! I śmiech mnie bierze i passya. To też graliśmy dzisiaj w pytkę. Byłabyś pękła ze śmiechu, widząc jak go okładałam pytką, ale tak od serca, zca-lęj siły. A on co? On jak trusia nadstawiał mi grzbiet i był najszcześliwszym z plag odebranych. Notabene w koniec pytki włożyłam dwuzłotówkę, a on się cieszył, *la bonne bête*.“

Nie, to być nie może! krzychało na gwałt serce moje. To czy mnie myślał wrzeszczała jeszcze głośnie-j moja miłość własna.

I machinalnie szukałem oczyma dalej, i znalazłem czego szukałem.

Opisywała sztych scenę przy aloesie.

„...I wsadziłam mu szpilkę z całej siły; ja myślę że do kości. Wiész że czułam rodzaj rozkoszy; ale żart na bok, serce skakało mi z radości, że choć tym sposobem mogłam się zemścić za wszystkie nudy i ziewania, których ten nieznośny blanc-bec stał się dla mnie przyczyną. Ty, wiész, droga Antosiu, jaką ja zawsze miałam antypatyą do durniów!... Na tém skończyła, z dodatkiem trzech wykrzykników.“

— A, tego już zanadto! krzyknęłam w głos, i tak się rzuciłam, że aż suczka przestraszona zawarczała, a pi-jany Bazyl z błogiego ocknął się snu.

Moich uczuć nie będę opisywał, bo się państwo sami domyślicie doskonale jakie być mogły; a potem zmieniali się co chwila. Był i gniew i wstyd, oburzenie i żal. Płakałem nawet podobno, jak prawdziwy sm... lecz w końcu ogarnął mnie gniew wście-kiły i obudziła się w głowie i w sercu chęć zemsty niepoohamowana. Lecz jak się zemścić? jak?... O wy Eumenidy, furyc piekielne!... cóż mądrego wymyślić? Medytując trzymałem ciągle w rękę ów złowrogi rękopis.

Precz z nim! zadeklamowałem patetycznie. Precz z tym jadem gadziny! I już chciałem rzucić go na drogę, gdy ostatnie słowo, przez łączność myśli, na-prowadziło mnie na myśl zemsty.

Tak, mówiłem sam do siebie, gadzina! gadzina! a na ukąszenie niektórych gadzin, najlepiej przyłożyć samą gadzinę do rany. W samym jadzie można zna-léż środek zbawczy.

I porwałem rękopis i zacząłem go czytać od deski do deski, mimo opóźnionego ziewania jakie mnie porywało. I znalazłem jad na jad.

Dojechaliśmy do karczmy na nocleg przeznaczonęj. Podczas gdy znoszono tłumoki, a Bazyl warzył wie-czerzę, ja przechadzałem się z paniami. Udając obo-jętność, miałem nawet uśmiech na twarzy, uśmiech któremu w myśli dodawałem przymiotnik szatański-go. W przekonaniu własnym wzrosłem do rozmiarów tragicznego bohatera.

Wnieziono wreszcie wieczerzę, jak dziś pamiętam, było mleko na wazy. Mleko było nadzwyczaj gorące; panna Stefania, wielka lubowniczka mlecznej zupy, niecierpliwiła się ogromnie że musi czekać, zanim wystygnie. Popatrzyłem na nią okiem szyderczym i przesywającem.

— Aby kochanej kuzynce czas przedziej przeminął, zacząłem, opowiem jedno zdarzenie, jeżeli kuzynka zechce.

— I owszem, i owszem, zawołała kuzynka.

— Zdarzenie to jest prawdziwe, mówiłem dalej. W jed-nę wsi były dwa dwory, a te dwory stykały się ogrodami. W jednym dworze mieszkała panienka, niby to przystojna, ale zarozumiała straszliwie, miała się za pan-nę dorosłą, chociaż była dzieciuchem tylko. W dru-gim dworze był panicz, przystojny, bogaty, wykształ-cony, który tylko co wrócił z zagranicy, po kilku la-tach podróży.

Gdy to mówiłem, uważałem z radością, że ku-zynka zaczęła się niespokojnie wiercić na stolku. Ciąg-nąłem dalej.

— Panienka biegając po ogrodzie, widziała kilka razy panicza, przechadzającego się po tamtej stronie płotu. Uroiło się biedaczce, że on dla niej chodzi, a więc nuż łaźć pod sam płot, wdychać, oczyprze-wracać, romantyczne przybierać postawy. Paniencie, która jeszcze z pod różgi nie wyszła, chciało się o-degrać rolę bohaterki romansu. I była pewna że ro-bi ogromne wrażenie na młodzieńcu, który tylko nie umi zbliżyć się do niej. Gdy tedy razu jednego wdra-pała się do pół płotu, oparła się romantycznie na rękę i widząc młodzieńca idącego wprost ku sobie: „Ach!“ westchnęła z całej siły... A młodzieniec na to stanął tuż kolo niej, zaśmiał się szyderczo i niestety!.. język pokazał.

Na te słowa panna Stefania nie mogła już dłużej wytrzymać. Skoczyła ze stolka i głosem zmienionym krzyknęła:

— Róziu! Róziu!

Różia, która słała łóżka w alkierzu, przyleciała prze-straszona. Panna Stefania zapierzona i czerwona jak rak, przyskoczyła do niej.

— Gdzie mój żurnal? krzychała, tupiąc nogami z całej siły w paroksyzmie złości.

— Albo ja wiem! odrzekła sługa, która jak żywa nigdy nie słyszała o żadnym żurnale.

Najpocieszniejszą rzeczą było to, że nikt wołania Stefci nie rozumiał. Matka nie wiedziała nawet że córka pisze dziennik, nie mogła zatem pojąć co córeczkę napadło, jak-kolwiek była przyzwyczajoną do gwałtownych wybu-chów panny Stefani, o której mówiono mi już pier-

wój, że jest ogromną passionatką. Gniew zaś tak sza-lony ząd pochodził, że rozpowiedziałem jej własne zdarzenie wyczytane w dzienniku, dodawszy tylko nieco artystycznego obrobienia.

Chwilę trwało zanim biedna Różia zrozumiała że tu idzie o szkatuleczkę. I dobyła ją z bryczki, obwią-zaną przezemnie jakąś tasiemką.

— Tyś mi rozbił szkatulkę? krzyknęła przyskaku-jąc do mnie z serdeczną ochotą wybić mi potwa-rzy. Lecz ja się w czas jeszcze cofnąłem.

— Za pozwoleniem, rzekłem do niej; dosyć było dla mnie pytki z dwuzłotówką i ukłucia aż do ko-ści.

Panna Stefania, nie wiedząc co dalej zrobić lub powiedzieć, padła na stołek i... zemdlala! Dzieci i matka w płacz. Różia przybiegła z wodą i tak szcze-rze lała na nią, że panna przyszła do przytomności.

Nadaremnie potem starała się pocziwa ciotka po-godzić nas.

— Do śmierci mu tego nie zapomnę! odpowiadała zawsze.

I rozjechaliśmy się niepokodzeni. Panna Stefania poszła wkrótce za mąż, ja zaś wróciłem do księżki szkoły, bogatszy o jedno doświadczenie, którego na-byłem za pomocą tego komiczno-tragicznego złudze-nia.

J. Dzierzkowski.

Ś L U B.

(Ballada studencka.)

W maryackim poważnym kościele
Ślubna para przed ołtarzem klęczy;
W kolo gości wystrojonych wiele.
Pannę młodą wianek z myrtu wieniczy,
Ona w ziemię patrzy się modląca,
Śliczne lica zrumienione płoną,
Białe ciało pod białą zasłoną
Drzy jak puchy, gdy o nie wiatr trąca.

Nie dziwota że panna tak trwożna,
Że tak płonie i taka pobożna,
Bo dopiero pierwszy raz się zdarza,
Że do ślubu klęka u ołtarza.

Lecz pan młody nie był w tym zapale,
On łańcuszkiem bawił się niedbale,
I był sobie z taką miną prawie,
Jakby w domu i przy czarnej kawie.
Wąsik muskał i patrzył się drwiąco
Na dwie družki, co obok klęcały,
I zdaje się o mężach myślały,
Bo wdychały modląc się gorąco.
Któż wie o co modliły się skrycie...
Tak czekano na księdza przybycie.

A za gośćmi onemi na boku
Jakiś młodzian stał z rozpaczą w oku,
Z rozczochranym włosom, bladęj twarzy,
Patrzył dziko ku stopniom ołtarzy,
A pod pachą, pod płaszczą faldami
Cóż namiętnie przyciskał rękami.
Błysło—Bożel czy to błysk sztyleta?
Nie—to były książki i kajeta;
Bo wam muszę opowiedzieć jasnie,
Że młodzieniec szedł do szkoły właśnie,
I przecuciem, czy trafem zagnany,
Wszedł i trafił na ślub swęj kochanej.

O miłości tej opowiem wiernie:
Panicz ciotkę miał; ciotunia głucha,
Ale dobra, pocziwa starucha
I kuzynka kochała niezmiernie;
Więc kuzynek korzystał z dobroci,
I co lato przyjeżdżał do cioci.
A zdarzyło się w tę porę sama,
Że ta panna, co dziś u ołtarza
Tak nieśmiało przysięgi powtarza,
Przyjechała tam także z swą mamą,
Ale wtedy młodszą była wiele.

Panicz patrzył na pannę nieśmiele,
I panienka na niego ukradkiem,
Aże się raz spotkali przypadkiem
Przy malinach i rumieni cali
Długo, długo ze sobą gadali.
Odtąd panicz ciągle był przy pannie:
To jej książki czytywał w altanie,
To ją woził na łódce po wodzie,
To z nią kwiatki podlęwał w ogrodzie,
A panienka młoda jemu zato
Słówka, oczka rzucała z zapłata.

Ale stało się raz w piękne rano,
 Że panicz do szkół odesłano,
 I z panienką odjechała matka,
 I tak koniec był temu kochaniu.
 Potem panna rosła, rosła w latka,
 Aż się stała panną na wydaniu;
 I starał się o nią jeden młody,
 Co miał rozum, bródkę i dochody,
 To chyba dziwną panna była,
 Gdyby takim szczęściem pogardziła.

Ale panicz nie zmądrzał tak skoro
 Jako panna, i w szkole i w domu,
 Wciąż do panny wzdychał pokryjomu
 I pisywał o niej wiérzy sporo.
 I dziś, patrząc, blade, lzy ma w oku...
 Tak rozpaczny był przed dwoma laty,
 Kiedy wracał po skończonym roku
 Bez promocyi do groźnego taty.

Ślub się skończył, zagrały organy,
 Zaszumiały i szept i stroje,
 Wyszli goście i małżonków dwoje.
 I już panicz pozbył się kochanej.
 Już jęj może więcej nie zobaczy!
 Odjechały pojazdy z turkotem,
 Panicz westchnął rozpacznie, a potem
 Już do szkoły nie poszedł z rozpaczny,
 Ale poszedł nad Wisły strumienie,
 A zle myśli szły za nim jak cienie.

A na drugi dzień młodzieńca ciało
 Znalezione rankiem jak leżało...
 Snem ujęte na miękkiej pościeli.
 Chciał się wprawdzie wczoraj do topieli
 Rzucić, skończyć nędzny żywot, ale
 Na nieszczęście pływał doskonale;
 Więc ten zamiar wybił sobie z głowy,
 Tylko cały dzień się w polu włóczył,
 Sam ze sobą dzikie wiodąc mowy,
 Aż gdy mu już dobrze głód dokuczył,
 Późną nocą do domu powrócił
 Zjadł wieszczkę i w łóżko się rzucił.

O! nie budzić mi proszę młodziana,
 Niech śpi, choćby do drugiego rana,
 Wszak powiedział jeden śpiewak w pieśni:
 Tyle tylko szczęścia, co człek przesi.

M. B.

Z Mysłowic do Krakowa.

Był to dzień skwarny; słońce gorącym dokuczało promieniem, żadna chmurka nie zaciemniała jasnego niebios błękitu, ani wietrzyk łagodnym tchnieniem nie odświeżał przyrody. Warczały koła wagonów, lokomotywa buchała parą, szybko pędziłem ku Mysłowicom znużony podróżą i skwarem. Przykra to jazda wśród południowego żaru, wśród nie zbyt ponętnych obrazów, gdy się pragnie jaknajprędzej stanąć u celu swej drogi; tym zaś przykrzejsza, gdy niespodzianie na małej stacji trzeba się zatrzymać, i nieraz w ciasnym, nieschludnym pokoju kilka godzin na odejście nowego pociągu poczekać.

Nieprzyjemności takiej doznaje każdy, udający się przez Śląsk do Krakowa. Przez cztery długie godziny ma czas wypocząć w Mysłowicach i zasiadłszy przy wążkim stoliku, zaspokoic pierwsze potrzeby żołądka twardą cielecą pieczenią i szklanicą zwietrzałego piwa. Później, zapalwszy z nudów cygaro, gdyż zwykle tutaj nienawistne losy szczupłą tylko gromadkę osób niezających się pomiędzy sobą i rozmaitej narodowości łączą, chcąc nie chcąc goni się wzrokiem za niebieskimi obłoczkami dymu, spogląda po okopconych ścianach i po wiszących na nich w złoczystych ramach litografiach, powoli mgłą zaszuwa się oko i w senne przechodzi marzenie.

I mnie los podobny spotkał. Byłem nieomal sam w gościnnej salce; kilku Niemców, uderzając w kufle, szwargotało głośno; w drugim pokoju przy bufecie urzędnicy od kolei wesoło przy kieliszku wódki z gosposią rumianą gwarzyli. Wśród jednostajnego gwaru zacząłem zwolna składać głowę na krawędzi kanapy, coraz ciemniej mi było przed oczyma... zasnąłem.

I zdawało mi się, jak gdybym był obwiany leciuchnym szmerem, który melodyjnie naokół mnie szeptał; szmer się pomnażał, widziałem się w przedczym ogrodzie, w cieniu lip i jodeł, wśród woni kwiatów i śpiewu ptaszek. I znów się ciemniło, z lip wyrastały ogromne portyki, ponure jodły sklepieniem świątyni

zawisły nademną, a z pieśni ptaszek wysnuwał się smętny, błagalny hymn... I znów znikala powoli świątynia, topniały tłumy i ginął w oddali uroczyście śpiew. Zmienił się obraz mego widzenia, usłyszałem gwar i okrzyki. Wtém nagle ogromny rozległ się huk i zdało mi się że kula przeszywa mi głowę... Obudziłem się. Rzeczywiście uderzyłem czołem o poręcz krzesła, zsuwając się we śnie z kanapy; przy bufecie kilku wąsatych żandarmów brzękało szablami rozprawiając, a turkot zachodzącego przed dworzec pociągu i odgłos dzwonka dawały znak, że nadeszła chwila wyjazdu.

Porwałem rzeczy i uradowany biegiem do wagonu; wkrótce odwidział mnie komisarz policyi, by zajrzeć w pasport; zadzwoniono po raz drugi i trzeci, i wytoczyliśmy się zwolna z Mysłowic, ogolonych z zieleni drzew i położonych smutnie wśród piaszczystej równiny. Na lewo cienił się laszek zdala, nad nim czarne słupy dymu strzelały w górę: to Sosnowice, pierwsza w królestwie stacya.

Na prawo zdążając, zajechaliśmy za chwilę przed podłużny dworzec w Szczakowie, i już byliśmy w Galicyi. Tu przechadzało się zwolna kilku austriackich żandarmów i grenadyerów, opiętych, wysznurowanych, w białych krótkich mundurach z różowemi wyłogami; urzędnik pasportowy odebrał papiery; wszyscy podróżni spieszyli do rewizyi rzeczy, która się odbyła grzecznie ale ściśle; szukano zwłaszcza tytoniu i cygar. Tutaj znów trzeba było poczekać godzinę, aż zdala od granicy królestwa dało się słyszeć przeraźliwe gwizdanie parowej maszyny i wkrótce nadszedł oczekiwany pociąg z Warszawy. Z jego przybyciem fizyognomia Szczakowy, dotąd przeważająco niemiecka, zmieniła się nagle: zewsząd polska odezwała się mowa, z wagonów wybiegło mnóstwo kobiet i mężczyzn, znów urzędnicy celni zaczęli przetrząsać rozliczne kufry, tłumoki i węzłki, a tymczasem zaszły żółte austriackie wagony. Dano hasło dzwonkiem, zajęliśmy miejsca, oddano nam pasporta i ruszyliśmy nareszcie ku Krakowu, tej zgrzybiałej dawnych królów naszych stolicy.

Austriackie pociągi nie pędzą tym szybkim, lotnym biegiem, jak w innych krajach Europy, ale pełzają zwolna, jak gdyby tutaj i para flegmatycznej, niemieckiej była natury. Wlekliśmy się zatem wśród piaszczystej pustyni, która się za Szczakową rozciąga, a że widok ten bynajmniej nie był malowniczym, zwróciłem oczy na wnętrze wagonu, a w nim na nowych towarzyszyw podróżny. Naprzeciw mnie siedziały trzy panie; z tych jedna zdawała mi się być matką, dwie drugie córkami. Obok mnie rozsiadł się młodyczłowiek, pięknej i dziarskiej postaci, na przeciwnym zaś rogu zajął miejsce przy otwartem oknie brodaty, ogorzały mężczyzna. Zacząłem swój przegląd, jak to łatwo można odgadnąć, od płci pięknej. Starsza dama przedstawiała prawdziwy typ polskiej matrony. Twarz spokojna, choć poorana zmarszczkami sędziwego wieku, w oku rozlana powagą obok macierzyńskiej miłości, z którą raz poraz na swe córki spoglądała. Hoże i zalotne były też to dziewczyny, prawdziwe Warszawianki, smukłe, o toczonęj kibici i małych rączkach. Kruźce warkocze miała jedna, zadarty nieco nosek figlarnego nadawał wyrazu jęj twarzy, w czarnych oczach gorzały płomienie, a rumieńcem młodości i zdrowia tryskały krasne jęj lica. Biała twarzyczkę drugiej otaczały gęste sploty jasnych włosów, niebieskie, smętne oczy łzawą lśniły się osłoną, po różowych usteczkach błąkał się uśmiech pełen słodyczy. Uważałem że obiedwie siostry czasami na mego sąsiada ukradkiem przelotne rzucały spojzenia. Był to młodzian silnie zbudowany, regularnych rysów twarzy, na której wiosna życia rozlała świeżość i szczerość; małeńki wąsik ocieniał mu wierzchnią wargę, a wzrok i cała postawa zdradzały dzielność i ochoczość do rzucenia się w zamęt nieznanego i niezakosztowanego dotąd świata. Mimowolnie uczulem pewien pociąg ku niemu i z nim nasamprzód postanowiłem rozpocząć rozmowę, w którą później zamierzałem uwikłać piękne sąsiadki, zawierając w ten sposób nową znajomość i rokując sobie przyjemne wśród dalszej podróży zajęcie. Niestety, srodze zostałem zawiedziony w tych uludnych nadziejach: bo gdy wykonywając swój zamiar zwróciłem się do sąsiada, zapytując grzecznie, czy po raz pierwszy, równie jak ja, zamyla Kraków odwiedzić, mój sympatyczny młodzieniec ledwie kilka słówek odmruknął raczył, poczem natychmiast odsuwając się na róg przeciwny wagonu, widocznie dał mi do poznania, że rozmowy dalszej sobie nie życzy.

W tej samej chwili zauważyłem, jak obiedwie panienki dobiły z podróżnego węzła w safian opr-

wne książeczki i pilnie w nich czytać zaczęły; matka zaś zmrzyła oczy i zdawała się zasypiać; brodaty wreszcie mężczyzna, pomarszczywszy czoło, wychylił się oknem, wpatrując się z uwagą w okolice, wśród których zdążaliśmy ku Trzebinii. Zdziwiony i boleśnie dotknięty tym niewytłumaczonym mi wstępem Koroniarzy do pogadanki z Wielkopolaninem, łamiąc sobie napróżno głowę, coby mogło być przyczyną zakłętego milczenia, którym się przedemną osłonięto, zacząłem smutnie spoglądać już nie na wnętrze wagonu, ale na wyrastające z piaszczystej równiny coraz to większe wzgórza, które się wkrótce w skaliste zamieniły ściany, pokryte u wierzchu mchem i zieloną murawą.

Wnet wjechaliśmy w przesliczne lasy jodłowe, z których gęsto przegłądały olsze i modrzewie; wzgórza rozsławały się zwolna przed nami i wśród cichej doliny ukazała nam się Trzebinia. Stacya to niewielka, dworzec niepokazny i bez piętra; przed dworcem przechadzało się kilku oficerów od węgierskich huzarów, w złotem kąpiących dolmanach; dwóch piechurów w białych mundurach, jasno niebieskich, obcisłych spodniach i wysokich skórzanych czapkach, z karabinami zawieszonymi na ramieniu, stało nieruchomie na straży, a kilku żandarmów popielato ubranych, kręcąc się tu i owdzie, śledczym wzrokiem zaglądało do powozów.

Dwoje małych dzieci, dziewczątka i chłopczyk, biegały od wagonu do wagonu z dzbanuszkami i szklankami w rękę, wołając bezustannie: „świeża woda! świeża woda! świeża!“ co mi mimowolnie przypomniało warszawskie „obwarzaneczki!“

Po małym przestanku ujrzyliśmy pędzący ku nam pociąg wiedeński, wznagał się tentent zbliżających się wagonów, zabrzmiał dzwonek, slychać było skrzywienie otwieranych dzwiczek, rój pasażerów wysypał się na stacyę i gwar niemieckiej, z wiedeńska zatrącanęj mowy naokół się rozległ. Lecz wrzawa krótko trwała, bo znów zadzwoniono, powiadano spieszenie na dawne miejsca, zasyczała lokomotywa i ruszyliśmy dalej ku Krzeszowicom.

Im bliżej dojeżdżaliśmy Krzeszowic, tym większym wdziękiem uśmiechała się ku nam przyroda i krajobraz piękniejszy się stawał. Wśród pasma zielonych pagórków, malowniczo po obu stronach drogi porozrzucanych, wily się wawozy, mrucały po kamryczkach rwesty strumień, uciekając w objęcia modrzej Wisły; na wąskich drożynach snuły się wózki wieśniacze. Woznica w białej sukmanie z karmazynowemi potrzebami, ściśnionęj pasem brzęczącym od mosiężnych kólek, w szpiczastym kapeluszu słomianym, ozdobionym szeroka, czarna, złotem przerabianą wstęgą i pawiami piory, zaciął rączę koniki, zaprzężone w krakowskie chomonta; kilka dziewcząt, okrytych białemi płachtami od słońca, niedbale spoczęło na miękkim kobiercu murawy, nadzierżanej wonnem polnem kwieciami; chłopak w koszuli, pogwizdując krakowiaka, prowadził konie do wody; zdala przysiadła wybielona chatka bez komina, nad nią rozpięta lipa cieniste konary, i bocian klekotał dziobem na wysokim dębie, radując się nad pogodnym wieczorem. Na prawo od nas ciemniały na błękitie niebios skaliste wzgórza, a na posępnej i stromej skale z poza gromady sosien i świerków, ujrzałem wspaniale sterczące ruiny Tęczyna.

Przecudny był widok! to też długo się nim poitem, a tonąc w zadumie, wywoływałem w pamięci dzieje świetnego niegdyś grodu i dzielnicy jednę z najpotężniejszych i najznakomitszych rodzin w Koronie. I w myśli kroczyły przedemną olbrzymie postacie dawnych kasztelanów i wojewodów krakowskich, ogorzale rycerskim znojem, pomarszczone pracą nad dobrem rzeczypospolitej, z chmurą dumy możnowładnej na czole, osłonięte senatorską purpurą, lub w żelazne uzbrojone pancerze. Począwszy od Nawoja Toporczyka, co ów zamek wznosił w 1325 r. na stromej skale, przesuwaly się przedemną kolejno olbrzymie cienie zasłużonych ojczyźnie mężów. Widziałem Jaska z Tęczyna, wojnickiego kasztelana, co po śmierci króla Ludwika na sejmie sieradzkim w r. 1383 „przemówiwszy do panów i braci, aby nie kalali się wiarołomstwem,“ (1) pozyskał szlachtę na stronę Jędrzeja; Jędrzeja, co pod Grunwaldem w r. 1410 z własną chorągwią obok króla Jagielly walczył z Krzyżakami; Zbigniewa, którego córka pojął w małżeńskie śluby książę raciborski, znakomita odrośl Piastowskiego szczepu; Mikołaja, wojewodę ruskiego, co w r. 1497 zginął w nieszczęsnej wyprawie na Bukowinę; Jędrzeja, wojewodę krakowskiego, którego cesarz Karol V, szacząc osobiwą przyjaźnią, w r. 1527 hrabią cesarstwa rzymskiego mianował; Jędrzeja kasztelana krakowskiego, co z własnym poczem pocią-

(1) Józefa Szujskiego *Dzieje Polski*. Lwów 1862.

gnął na wojnę Karola IV z Solimanem sułtanem w 1532 roku, i syna jego, także Jędrzeja, wojewodę krakowskiego (2) „pana tak pięknych z natury przymiotów, osobliwie roztropności, łaskawości i szczeroty, że ryccerstwo polskie koronę mu i tron polski ofiarowało, w czasie bezkrólewia po Zyguncie Augustie.“ Aż po sędziwej postaci Stanisława, wojewody krakowskiego, groźnego z początku Barbary Radziwiłłówny przeciwnika, ujrzałem bladą i smętną twarz owego Jana hrabi na Tęczynie, „obdarzonego hojnie wszystkimi cnotami,“ (3) których pamiątkę śpiewał nad grobem zawczasem zmarłego młodziana wieszcz z Czarnolesia, a którego miłość i smutne przygody Julian Ursyn Niemcewicz w pięknej skrócił powieści.

I zdawało mi się, że widzę wśród piętrzących się bałwanów i grzmiącej nad nimi burzy, okręt dzikimi szamotany wiatry. Na jego pokładzie między biegnącymi w poplochu majtkami, stał nieruchomie młodzieniec wśród ciemności, co się warstwami u widnokręgu pokładły, żegnając wzrokiem w oddali cudną postać królewskiej kochanki, do której dążył by ją poślubić na wieki. Huczaly wichry, drżały pod stopami belki, stękały maszty, błyskawice pręły czarne niebios sklepienie. Ogromny bałwan z wyniesioną paszczą pędził naprzeciw okrętowi, przerażenie przejęło wszystkich—coraz bliżej, coraz bliżej... Jan z Tęczyna raz jeszcze spojrział w górę, jakby polecając się Bogu i rzucił słowa pożegnania dla Cecylii i zgrybiatych rodziców, zamknięte w szklanym naczyniu w otchłanie morza... Nagle rozległ się trzask łamiących się masztów, krzyk konających przedarł się na chwilę z poza głębin i utonął w ciemnościach...

Później widziałem jeszcze żalobny orszak, posuwający się zwolna przez tę samą okolicę, przez którą i ja dążyłem ku rodzinnym grobom hrabiów z Tęczyna w Kraśniku, a za nim ciągnęły tłumy ludu i długim szeregiem senatorskie karoce, otoczone gromadami czarno przystrojonych dworzan; jęczały dzwony, zmieszane z ponurym śpiewem kościelnym. Były to zwłoki Jana, sprowadzone z szwedzkich wybrzeży, na ostatni wśród pradziadów na ojczystej ziemi spoczynek. Tak skończył życie wojewoda bełzki, starosta lubelski, szlachcic polski, a królowy szwedzkiej naręczony, Jan hrabia z Tęczyna. Długo bolała nieboga Cecylia nad stratą kochanka, aż zniewolona przez swego monarchę, oddała rękę księciu badenskiemu, ale nie serce, które podobno do grobu zachowało wierność zgasłemu Janowi.

Groźne zamczysko zniszczyli Szwedzi w 1655 roku, później zgorzałe i opustoszałe, miało jeszcze kapliczkę do 1792 r., w której spoczywały zwłoki ostatniego potomka wielkiego rodu; aż go wreszcie i ten cichy i martwy opuścił mieszkaniec, przenosząc się do grobu, i został sam tylko nagi szkielet świętego grodu, dotąd spoglądający dumnie z wyniosłej skały na okolicę, której niegdyś był gościnnym panem i ozdoba.

Błakającego się w smutnych wspomnień natłoku, przebudził nagle turkot, z jakim wjeżdżaliśmy przed dworzec w Krzeszowicach, słynnych z przedcudnej okolicy, kopalni siarki i źródła wody żelaznej, której skuteczność pierwszy ocenił około 1789 r. doktor Leonhardi. Wyrwany z zadumania, począłem ciekawie spoglądać już to na wspaniałą i ogromny, choć niedokończony jeszcze pałac, wzniesiony przez terazniejszego dziedzica Tęczynskiego państwa hr. Adama Potockiego, już to na malowniczo rozrzucone domki kąpielne i zabudowania gościnne, staraniem księcia Augusta Czartoryskiego wojewody ruskiego wymurowane, ku wygodzie kąpiących się przez księżną marszałkową koronną Izabelę Lubomirską upiększone, a przez hr. Potockiego Adama najtroskliwiej zachowane; już to na park obszerny, zdobny odwiecznymi drzewami, wśród których cienia tu i owdzie ławeczki zachęcają do spoczynku przechodnia, przerniętą srebrną wstążeczką malenię rzeczki, co świętym tchnieniem ożywia murawę i zwiędłe listki ku Wisłę ze sobą unosi.

Od Krzeszowic dwa jeszcze małe przystanki, ichyżym biegiem zbliżamy się do Krakowa, starożytniej Piastów i Jagiellonów stolicy i grobu. Najprzód dojrząc można złoczone iglice licznych wieżyc, śmiało strzelające ku obłokom i białe czoło królewskiego zamku, słabo na błękitnym tle niebios zarysowane. Po prawej stronie wita nas na górze św. Bronisławy mogiła Kościuszki, otoczona warownymi murami, wynioslejsza od mogił Krakusa i Wandy, które zdala się

(2) *Korona Polska* Kaepra Niesieckiego Lwów. w koll. Soc. Jesu. 1738.

(3) Jan Koehanowski w *Pamiętce* Janowi Baptyście hr. na Tęczynie, woj. bełzki. lubel. staroście.

(4) J. K. Rzesiński.

rumienią wśród blasków zachodzącego słońca. Przed nami rozciągają się wieńce drzew rozłożystych, z poza których przegląda przeszliczny pałac łobzowski, mieszczący w sobie szkołę wojskową, a wzniesiony na szczątkach lubego niegdyś schronienia Kaźmirza i Esterki. Król ten

„Często, gdy mu się ciężar korony
„Sprzykrzyło dźwigać na głowie,
„Po dworskich gwarach ciszy spragniony,
„Znajdował się tu w Łobzowie.
„W tym gaju, kiedy się zazielenił,
„Chodził z Esterką porankiem,
„I wtedy tylko szczęsnym się mienił,
„Gdy z króla został kochankiem.

Wedle miejscowego podania miał Kaźmirz Wielki wśród cieni tych drzew, które były niemymi świadkami jego miłości i szczęścia, ciało swjej kochanki na wieczny złożyć spoczynek. W łobzowskim ustroniu ukrywał się później zrozpaczony Wilhelm, gdy szczęśliwszy odeń Jagiełło poślubił nadobną Jadwigę, łącząc na swjej skroni świetną koronę Piastów, z wielkksiążką mitrą litewską.

Lecz już i Łobzów znika, a natomiast kroczyć się zdaje ku nam z całym majestatem i powagą zgrzybiała stolica, oblana od południa Wisłą, opasana wzgórkami krzemionek, najeżona wieżycami, dumna zamczyskiem i ujęta w oddali śnieżnych szczytów karpaccich rąbkami. Już ciemnieje Floryańska baszta, kościół Panny Maryi dwiema wieżami, jako parą pobożnych ramion, kornie ku niebu sięga, złocą się kopyły i krzyże świątyni, a ponad miastem wspaniale zasiadł, jak na tronie dawnych królów polskich, obszerny na Wawelu zamek, opierając skronie o mury katedry, w której 20 stycznia 1319 r. koronowano Łokietka, 15 lutego 1386 r. chrzczono Jagiełłę i przez wieki namaszczało długi szereg polskich monarchów, aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego, t. j. do 1764 roku. Zamek odnowiony dzisiaj i zamieniony na więzienie i koszary, utonął w zadumie, cichy, ponury, ale wielki; to na miasto spogląda, to z westchnieniem na świątynię patrzy, gdzie w złościstych grobach, pod marmurowymi sarkofagami, śpią dawne jego pany. Ileż to wspomnień świetnych, ileż obrazów ubiegłej przeszłości tłoczy się do myśli na widok starożytnego grodu stołecznego!

„Tu Mieczysław, strąciwszy pogańskie bałwany,
„Pierwszy ze czcig wprowadzał Chrystusa kapłany;
„Tu wielki król Kazimirz i jego prawnuki
„Założyły dla Polski świątynię nauki;
„Tu Jagiełło zawieszał chlubne męztwa znaki;
„Tu mu holdy składały zwalczone Krzyżaki;
„Tu przy Zyguncie, nauk i męztwa czcieliu,
„Wzniósł się sarmacki Parnas na górze Wawelu;
„Ztąd Jan mężny pospieszył obronić Germany,
„A wodzem chrześcijańskich monarchów obrany,
„Strącił szablą Chrobrego zwyciężkie miesiące. 5)

Tu później... lecz dość pamiątek. Już gwizdże parowa maszyna, zwalniamy biegu, mijamy schludne domki przedmieścia, maleniemi zdobne ogródkami, toczy się wśród długich szeregów próżnych wagonów, skrzypią przeraźliwie szyny, coraz wolniej i wolniej jedziemy, aż pociąg przed obszernym stawa dworem,—jesteśmy w Krakowie. *Teodor Zychliński.*

PRZEGLĄD

POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

20 listopada.

Zgon Fryderyka VII króla duńskiego (15 listopada) jeszcze bardziej powikłał sprawę szleswicko-holsztyńską. Na zasadzie protokołu londyńskiego z d. 8 maja 1852 r. następcą króla zmarłego ogłoszonym został książę Holstein Sonderburg Glücksberg, pod imieniem Krystyana IX. Następstwo księcia Krystyana uprawnione zostało przez mocarstwa podpisane na protokole londyńskim, ale między podpisami niemieckimi znajdują się tylko dwa mocarstwa związkowe: Austria

(5) D. E. w *Pamiętniku Warszawskim* z 1803 r.

i Prusy. Tymczasem reszta Związku niemieckiego nieuznała dotąd protokołu z r. 1852 i dowodzi, że po wygaśnięciu głównej linii królewskiej w Danii, Holsztyn powinien być oddzielony od tego mocarstwa i oddany księciu Fryderykowi Sonderburg-Augustenburg. Nie ulega więc wątpliwości, że książę Augustenburg, poparty przez Związek niemiecki, postara się zważyć protokół londyński. Rzecz prosta że zabiegi te, jakkolwiek oparte na starożytnym prawie Holsztynu, wyłączającym od tronu kobiety i ich potomstwo, nie mogą być jednak uwienczone pomyślnym skutkiem. Wielkie mocarstwa, przedewszystkiem zaś Anglia, nie dopuszczają aby terazniejszy król duński, ojciec przyszłej królowej angielskiej, mógł doznać jakiegokolwiek krzywdy i utracić prawa protokolem londyńskim zawarowane.

Dzienniki nie przestają zajmować się żarliwie kongresem i mniej lub więcej prawdopodobnym odrzuceniem lub przyjęciem propozycji Napoleońskich. Nikt nie wie, a każdy głosi co może i pragnie swe przypuszczenia wydać za szczerą, urzędową prawdę. Najbardziej zabrnęła na tém polu wiedeńska Presse, podając wiadomość niby pewną, że Anglia, Austria i Prusy układają się w przedmiocie wysłania do Paryża jednobrzmiącej noty, nie ze wszystkiemi przychylnymi kongresowi. Więściom tym stanowczo zaprzeczył angielski Observer i pruska Spener Ztg., oświadczając iż do d. 16 listopada nie było żadnego porozumienia się wymienionych wyżej mocarstw. Spener Ztg. dodaje, że nie próbowano nawet dojść do porozumienia. Dowiadujemy się także z dzienników dobrze uwiadomionych, że Anglia i Austria bezzwłocznie odpowiedziały cesarzowi Napoleonowi, iż gotowe są przystąpić do kongresu, pod warunkiem udzielenia objaśnienia co do programu kongresowego. Co się zaś tyczy króla pruskiego, to monarcha ten ustnie oświadczył posłowi francuzkiemu w Berlinie, że tak ważny przedmiot, zanim pójdzie pod obrady kongresu monarchów, powinien być dojrzałe zbadany i roztrząsany. Tyle co do większych mocarstw. Memorial diplomatique ze swjej strony zapewnia, że otrzymano już w Paryżu odpowiedzi z Kopenhagi, Madrytu, Turynu, Lizbony, Hagi i Konstantynopola, bezwarunkowo przystające na kongres. Nareszcie depesza z Frankfurtu z d. 17 listopada donosi, że naczelnik wydziału spraw zagranicznych belgijskich przybył do Wiednia z nader ważnymi depejami króla Leopolda i że ten monarcha pośredniczyć ma w układach pomiędzy Rosją, Prusami, Anglią i Austrią.

W ogólności, najsilniej dotąd występują przeciw kongresowi dzienniki angielskie. Times zamieszcza codziennie po dwa lub trzy artykuły rozumowane, noszące na sobie widoczne cechy nieufności, nieukontentowania i gorzkiej ironii. „Dlaczego Francya chce kongresu? czy jest zagrożoną? czy też ma do zyskania takie korzyści, jakich jęj nie może odmówić sprawiedliwość powszechna? Czy pragnie aby jęj granice uznane zostały za wieczne i święte?“ Te i tym podobne zapytania zadaje sobie dziennik angielski i przytacza świętą sprawę meksykańską, jako dowód w jaki sposób Francya zmienia działanie zawarte w początku w granicach umiarkowania i sprawiedliwości. Bądź co bądź, pomimo rozdrażnienia z obu stron kanału panującego, gabinety o ile się zdaje skłonne są do przyjęcia propozycji kongresowych. Obrady ciała prawodawczego nie ustają i dały już możność wystąpieniu opozycji przy sprawdzaniu wyborów. Dwór bawii w Compiègne. Dzienniki zapowiadają wciąż bliżki przyjazd króla Wiktora Emanuela.

Ostatnie depesze. *Frankfurt 18 listopada.* Książę Fryderyk Augustenburgski wydał odezwę do mieszkańców Szleszwigu i Holsztynu, w której ogłasza się prawym władcą tych księstw i protestuje przeciw zagarnięciu tych krajów przez nowego króla duńskiego Chrystyana IX. Książę odzywa się do uczuć mieszkańców i przyrzeka że skłoni rządy związkowe do ujęcia się za pogwałconym na nim prawem następstwa.

Berlin 18 listopada. Gazeta Krzyżowa wnosi z przygotowań w ministerjum wojny, że przyjdzie do starcia między Danią i Niemcami. Dziennik ten donosi że książę Augustenburg bawi w Berlinie i mięwa częste narady z p. Bismarck.

Neapol 18 listopada. Król doznaje najsympatyczniejszego przyjęcia od ludności południowej. D. 16 b. m. odbył świetny przegląd floty w przystani neapolitańskiej. Dzienniki i telegamy potwierdzają, że królowa hiszpańska, królowie: włoski, portugalski i szwedzki, przyjęli zaproszenie na kongres bez żadnych zastrzeżeń.